

Willia Cathei

Utracona

Przekład: Ariadna Demkowska-Bohdziewicz

Część pierwsza

Rozdział I

Przed trzydziestu czy czterdziestu laty w jednym z owych szarych miast leżących na linii kolejowej Burlington -- o ileż bardziej szarych dziś niż w tamtych czasach -- stał dom znany od Omaha po Denver z gościnności i czarującej atmosfery, znany w kołach ówczesnej arystokracji kolejowej, to znaczy wśród ludzi bezpośrednio związanych z koleją albo ze spółkami akcyjnymi, które wykupywały tereny pod budowę nowych linii. W owych czasach wystarczyło o kimś powiedzieć, że jest „od Burlingto- * na”. Zналиśmy wszyscy nazwiska dyrektorów, prezesów, wiceprezesów, inspektorów; młodzi bracia albo kuzynowie tych panów prowadzili księgi rachunkowe, doglądali transportów, kierowali oddziałami firmy. Wszyscy oni -- nie wyłączając bogatych hodowców i farmerów, którzy wysyłali wagonami bydło i zboże -- korzystali przez cały rok z wolnego przejazdu nawet z rodzinami i dużo jeździli koleją. Istniały w owym czasie dwie odrębne warstwy w stanach Środkowego Zachodu: z jednej strony osadnicy i robotnicy żyjący z pracy rąk własnych, z drugiej -- bankierzy i różni przybysze znad Atlantyku, którzy kupowali wielkie ran- cza, by -- jak mówili -- „popierać rozwój naszego wspaniałego Zachodu”.

Gdy ktoś „od Burlingtona” jechał w spra- 1 wach firmy, a nie musiał się zbytnio spieszyć, „i chętnie przerywał podróż, by spędzić noc w jakimś przyjemnym domu, gdzie mógł liczyć na subtelne dowody szacunku i uznania. A nie by- ło domu przyjemniejszego od domu kapitana 'A Forrestera w Sweet Water. Kapitan sam był „od Burlingtona” -- wybudował setki mil torów i kolejowych przez haszcze i prerie aż po łań- ■ cuch Gór Czarnych.

Dom Forresterów -- jak go wszyscy nazy- 3 wali -- o wyglądzie całkiem pospolitym, wyda- S wał się dzięki swym właścicielom większy i wy- | tworniejszy od innych. Stał na niewysokim, łagodnym wzniesieniu, w odległości niecałej 4 milL na wschód od miasta -- biały dom o wy- 1 sokim, spadzistym dachu, z którego łatwo zmia- j tać śnieg. Miał ganek i werandy z każdej strony, | zbyt wąskie jak na dzisiejsze pojęcie wygody i wsparte na cienkich, rachitycznych kolumnien- -A kach -- była moda wówczas, by każdy przyzwoity kawał drzewa tak .długo męczyć maszyną, póki nie nabierał wręcz obrzydliwego | kształtu. Ogołocony z pnączy wina i pozbawio- | ny osłony krzewów, dom ten wyglądałby za- ż pewne bardzo brzydko, lecz wtulony był w cień 4 wspaniałych kalifornijskich^ topoli, które obejmowały go opiekuńczo z prawej i lewej strony,

porastając całe zbocze za domem. Wzniesiony na szczycie wzgórza i odcinający się od szorstkiej zieleni lasu, pierwszy wpadał w oczy, gdy dojeżdżało się do Sweet Water, i ostatni zniknął, gdy opuszczało się to miasto.

By dostać się do posiadłości kapitana Forrestera, trzeba było najpierw przebyć rzekę o piaszczystym dnie, płynącą wschodnim skrajem miasta. Dla pieszych był most, pojazdy przebywały rzekę w bród: na drugim brzegu zaczynała się prywatna droga kapitana. Była wysadzana włoskimi topolami i biegła przez szeroko z dwóch stron ścielące się łąki. U stóp

wzgórza, na którym stał dom, była druga rzeka, a na niej solidny drewniany most; szeroka struga toczyła się leniwie kreśląc kapryśne łuki i pętle na łąkach będących w połowie pastwiskiem, w połowie bagnem. Kto inny dawno by już wydrenował teren i zamienił w żyzne pola, lecz nie kapitan. Wybrał to miejsce przed laty, ponieważ uważał je za piękne, a szczególnie cieszyło go, że ma rzekę na swych pastwiskach, płynącą właśnie w taki sposób -- wśród mięty, traw i migocącej na brzegu łożyny. Był człowiekiem zamożnym, jak na tamte czasy, i bezdzielnym. Mógł sobie pozwolić na dogadzanie własnym zachciankom. *

Gdy kapitan wiózł brykę ze stacji do domu gości przybyłych z Omaha czy Denver, radowały go ich głosy chwające piękne stada bydła na łąkach z obydwóch stron drogi. A gdy wjechali na szczyt wzgórza, radował go widok męż

czynn, którzy, choć starsi od niego, żwawo zeskakiwali z bryki i biegli po stopniach na ganek, by powitać panią Forrester, zawsze wychodzącą gościom naprzeciw. Nawet pewien bankier z Lincoln, o długiej, wąskiej twarzy, najmniej wrażliwy i najsurowszy z przyjaciół kapitana, ożywał się, gdy ujmował rękę pani Forrester, starając się podjąć swawolne wyzwanie w jej oczach i zręcznym dowcipem odpowiedzieć na żartobliwe słowa powitania.

Wybiegała zawsze na ganek, uprzedzona

0 przybyciu gości odgłosem kopyt i turkotem kół na drewnianym moście. Jeśli zdarzyło się, że właśnie pomagała czeskiej kucharce, to biegła prosto z kuchni przepasana fartuszkem i machała na powitanie żelazną łyżką unurzaną w maśle albo ręką poplamioną wiśniowym sokiem. Nigdy nie traciła czasu na podpięcie opadłego loczka: niedbałość stroju dodawała jej uroku, a wiedziała o tym dobrze. Mówiono, że potrafiła wybiec na ganek w szlafroczku, ze szczotką do włosów i długą czarną grzywą rozsypaną na ramionach, by powitać Cyrusa Dalzella, który był prezesem Spółki Kolejowej Colorado-Utah, i że wielki ten człowiek nigdy nie czuł się bardziej pochlebiony. W jego oczach

1 w pełnych, uwielbienia oczach starszych panów, którzy odwiedzali ten dom, cokolwiek pani Forrester raczyła zrobić, było wytworne, ponieważ robiła to ona. Nawet kapitan Forrester, tak powściągliwy w słowach, wyznał sędziemu Pommeroy, że najbardziej pociągająca wydała mu się tego dnia, kiedy uciekała przed nowo zakupionym bykiem. Zapomniawszy o nim pani Forrester poszła na łąkę zbierać kwiaty. Usłyszał jej krzyk, a gdy zbiegał zasapany ze wzgórza, ujrzał własną żonę sadzącą wielkimi susami, niby zajac, przez mokradła; zanosila się od śmiechu i nie puszczała z rąk czerwonej parasolki, która była przyczyną wszystkiego.

Pani Forrester, dwadzieścia pięć lat młodsza od swego męża, była jego drugą żoną. Poślubił ją w Kalifornii i prosto od ołtarza przywiózł do Sweet Water. Posiadłość tę nazywali swym domem nawet w owych latach, gdy spędzali w niej tylko parę miesięcy w roku. Lecz później, gdy kapitan po fatalnym upadku z konia nie mógł już budować kolei, państwo Forrester nie opuszczali schronienia w domu na wzgórzu. Kapitan doczekał tam starości i nawet ona -- o zgrozo! -- postarzała.

Rozdział 2

Lecz zaczniemy tę opowieść od pewnego letniego poranka przed laty, kiedy to pani Forrester była jeszcze kobietą młodą, a Sweet Water miastem, po którym spodziewano się wielkich rzeczy. Owego ranka pani Forrester stała w saloniku przy oknie układając w szklanym wazonie staroświeckie pąsowe róże. Podniosła w pewnej chwili oczy i ujrzała na podjeździe zbliżającą się gromadkę chłopców. Szli boso niosąc

wędkę i koszyczki ze śniadaniem. Znała prawie wszystkich: był wśród nich Niel Herbert, siostrzeniec sędziego Pommeroya, ładny chłopiec lat dwunastu, którego lubiła; był zawsze grzeczny George Adams, syn dżentelmena z Lowell ze stanu Massachusetts, posiadającego w okolicy ranczo; a z nimi mali chłopcy -z miasta: rudy synek rzeźnika, dwa otyłe bliźnięta właściciela najbogatszego w mieście kupca kolonialnego, Ed Elliot (którego ojciec miał sklep z butami i choć niemłody, wciąż uganiał się za kobietami -- prawdziwy Don Juan niższych sfer towarzyskich miasta Sweet Water) i dwaj synowie krawca Bluma, bladzi, piegowaci chłopcy o rozwichrzonych włosach barwy rdzy i w podartych ubraniach; kupowała od nich czasem dziczyznę albo suma, gdy cicho jak duchy zjawiali się przy kuchennych drzwiach pytając cienkim głosem, czy przypadkiem „nie trzeba dziś ryby”.

Widziała, że chłopcy idąc pod górę "naradzali się nad czymś niepewnie.

-- Ty ją zapytaj, Niel.

-- Nie, lepiej ty, George. Ona do was przychodzi. Do mnie nigdy się jeszcze nie odezwała.

Gdy stanęli przed trzema schodkami ganku, podeszła z wdziękiem do otwartych drzwi trzymając w ręku różę.

-- Dzień dobry, chłopcy. Wybieracie się na piknik?

George Adams z powagą wystąpił naprzód. -- Dzień dobry pani -- zdjął z głowy wielki słom[^]

kowy kapelusz. -- Czy możemy łowić ryby i brodzić po mokradłach, i zjeść drugie śniadanie w lesie?

-- Oczywiście. Macie piękną pogodę. Kiedy zaczęły się wakacje? A nie tęskno wam do szkoły? Niel na pewno tęskni. Sędzia Pommeroy zawsze mówi, że Niel lubi się uczyć.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem, Niel miał nieszczęśliwą minę.

-- Śmiało naprzód, tylko pamiętajcie zamknąć furtkę na pastwisko. Pan Forrester bardzo nie lubi, kiedy mu bydło wlezie w trawę, którą zasiał.

Chłopcy w milczeniu obeszlą dom i skierowali się ku bramie wiodącej do lasu, a potem z krzykiem pobiegli w dół po murawie, wśród wysokich drzew. Pani Forrester wyglądając przez okno w kuchni odprowadziła ich wzrokiem, póki nie zniknęli za skłonem wzgórza. Odwróciła się do kucharki Czeszki:

~ Jak będziesz piekła, Mary, to wstaw blachę z ciastkami. Zaniosę chłopcom w południe, kiedy będą jedli drugie śniadanie.

Wzgórze, na którym stał dom Forresterów, opadało łagodnie -- z jednej strony do mostu, a z drugiej -- do lasu. Lecz na wschód od domu, tuż za lasem, były strome skałki, wzniesione nad łąkami jak dziób okrętu. Tam właśnie zmiierzali chłopcy.

Gdy nadeszła pora posiłku, okazało się, że z tego, co było postanowione, nic nie zostało zrobione. Spędzili cały ranek jak dzikie stworze

--

S

nia: krzyczeli stojąc na stromej krawędzi skał, biegali po srebrzystych mokradłach niszcząc rosłe pajęczyny na wysokich trzcinach, z szelestem przedzierając się przez gęstwinę brunatnych bazi; brodzili po piaszczystym dnie strumyka i płoszyli pasiastego zaskrońca, który . chciał wygrzewać się w słońcu pod pnem , starej wierzby; wycinali proce; rzucali się na brzuch, żeby pić wodę z chłodnego źródła, bijącego spod brzegu prosto w gąszcz ciemnej rzeżuchy. Tylko dwaj mali Niemcy, Rheinhold i Adolf, synowie krawca, wycofali się nad cichy jaz, gdzie potok zastawiony był przez powalony pień drzewa i mimo gwaru dokoła i głośnego plusku wody zdołali złowić kilka małych rybek.

Krzak dzikiej róży wznosił swoje kwiaty otwarte i wspaniałe, wiechlina błotna stała w purpurowym kwieciu, zaczynały rozchyłać się srebrzyste listki trojeści. Ptaki i motyle śmigły dokoła. Potem nagle wiatr ucichł, powietrze zrobiło się gorące, z nagranych bagien; buchnęła para, ptaki zniknęły. Chłopcy odczu- li zmęczenie: koszule lgnęły do pleców, mokre włosy do czoła. Opuścili parne łąki na mokradłach i skryli się w lesie, gdzie można było położyć się na świeżej trawie, w dobroczynnym cieniu wysokich topoli i sięgnąć do koszyczków ze śniadaniem. Chłopcy Bluma przynosili zawsze ciemny chleb i kawał suchego sera -- ich towarzysze za nic w świecie nie tknęliby takiego jada. Ale tylko Tadeusz Grimes, rudy syn rzeź- nika, był na tyle niegrzeczny, że okazał pogar dę. -- Jak doma to wpychacie parówki, czemu tu do nas nigdj^ nie weźmiecie! -- krzyknął.

-- Cicho bądź -- powiedział Niel Herbert. Wskazał na białą postać spieszącą do nich przez las wśród migotliwych cieni liści. To pani Forrester szła z odkrytą głową niosąc na ramieniu koszyczek, a czarnogranatowe jej włosy lśniły w słońcu. Dopiero po latach zaczęła nosić szale i kapelusze chroniące twarz, chociaż piękną karnacją nigdy nie mogła się pochwalić. Policzki miała blade i raczej chude, w lecie lekko piegowate.

Gdy podeszła bliżej, George Adams, który miał bardzo wymagającą matkę, wstał i Niel poszedł za jego przykładem.

-- Przyniosłam wam trochę ciastek, chłopcy. Jeszcze gorące! -- Zdjęła z koszyczka serwetkę. -- Jak tam ryby? -- zapytała.

-- Prawie wcale nie łowiliśmy -- odparł George. -- Ganiałiśmy.

-- Znam to! Brodzenie po wodzie i różne takie rzeczy. -- W miły sposób rozmawiała z chłopcami, beztrąsko i poufale. -- Ja także czasem brodzę, kiedy zbieram kwiaty. Nie mogę oprzeć się pokusie. Ściągam z nóg pończochy, zadzieram spódnice i włączę do wody! -- Wysunęła stopę w białym pantofelku i potrząsnęła nią żywo.

--¹ ■ Ale pani umie pływać, prawda proszę pani? -- spytał George. -- Bo kobiety to przeważnie nie umieją.

-- Właśnie że umieją! W Kalifornii wszyscy

plywają. Ale ta rzeczka wcale mnie nie nęci -- błoto i zaskrońce, i pijawki. Brr! -- wzdrygnęła się ze śmiechem.

-- Widzieliśmy dzisiaj zaskrońca, przegналиśmy go -- wtrącił Tadzio Grimes. -- To był olbrzym.

-- Trzeba było zabić. Odgryzie mi palce, kiedy wejdę do wody. No, ale nie będę wam przeszkadzać w jedzeniu. Niech George zostawi koszyczek u Mary, jak będziecie wracać. -- Odeszła. Śledzili wzrokiem jej białą postać sunącą brzegiem lasu -- przystawała raz po raz, by przyjrzeć się krzewom malin rosnącym pod płotem.

| -- Ciastka pycha! -- orzekł jeden z opalonych, rozchichotanych bliźniąt Weavera. Przyjemnie im było wszystkim, że pani Forrester przyszła osobiście, zamiast przysłać Mary. Nawet mały Tadzio Grimes o wiecznie nastroszonej grzywie i rybich ustach -- jak wszyscy z rodziny Grimesów -- wiedział, że pani Forrester to osoba niezwykła. George i Niel byli już w tym wieku, że potrafili dostrzec, jak bardzo różniła się od innych kobiet w mieście, i zdawali sobie sprawę, na czym polegała różnica. Bracia Blum patrzyli na nią pokornie spod płowych grzywek, widząc w niej przedstawicielkę bogatych i wielkich tego świata. Lepiej od swych towarzyszy zdawali sobie sprawę, że istnienie klasy cieszącej się przywilejami jest niezbędne dla porządku społecznego.

Chiopcy skończyli jeść i leżeli na trawie rozmawiając o tym, jak wyzlica sędziego Pom-meroya, Fanny, została otruta i kto -- z całą pewnością -- to zrobił, gdy odwiedził ich następny gość.

-- Cicho, chłopcy, on właśnie tu idzie -- powiedział jeden z Weaverów. -- To Poison Ivy. Cicho bądźcie, wcale nie chcę, żeby nasz stary Roger też został otruty*.

Dobrze wyrośnięty chłopak lat osiemnastu czy dziewiętnastu, w wytartym myśliwskim ubraniu z welwetu, ze strzelbą i torbą na zwierzynę wspiał się na wzgórze od strony mokradeł i szedł przez las pomiędzy rzędami drzew. Chód miał prostacki i pewny siebie, idąc kopał gałązki, a wyprostowany był nienaturalnie, jakby kij połknął. W jego sposobie trzymania głowy była zuchwałość i jakaś podejrzliwość. Podeszedł do chłopców i odezwał się do nich protekcyjnym tonem.

-- Hej! Cóż wy tu robicie, smarkacze?

-- Mamy piknik -- odpowiedział Ed Elliot.

■-- Myślałem, że tylko dziewczyny bawią się w piknik. A gdzie nauczyciel? Czy nie dorośliście jeszcze do polowania?

George Adams spojrział na niego ze złością. -- Owszem, dorośliśmy. Dostałem na urodziny Remingtona 22. Nie wzięliśmy broni celowo. A ty lepiej schowaj swoją strzelbę, bo przyjdzie pani Forrester i każe ci się wynieść. -- Nie widzi nas z domu. Zresztą pani For

rester nie może mi rozkazywać. Taki sam jestem dobry jak ona...

Chłopcy zamilkli. Podobne twierdzenie wydało się absurdem nawet małemu Tadeuszowi o rybich ustach; ojciec jego żył z tego, że jedni byli lepsi od drugich i w konsekwencji kupowali różne mięsa. Gdyby wszyscy kazali sobie wykrawać z przedniej części jak Petersowie, każdy rzeźnik musiałby zbankrutować,

Ivy mimo wszystko schował strzelbę wraz z torbą za pień drzewa i sztywno wyprostowany stał nad chłopcami mierząc ich spojrzeniem małych oczu, okrągłych jak paciorki. Chłopcy poczuli się nieswojo. George i Niel unikali go wzrokiem -- choć przecież twarz jego w dziwny sposób ich urzekała. Była czerwona i mięsista, jakby spuchnięta od żądła pszczoły albo dotknięcia trującego bluszczu. Swoje przezwisko Ivy zawdzięczał jednak innej okoliczności: wszyscy wiedzieli, że załatwił parę psów, zanim się dobrał do ukochanej wyżlicy sędziego Pommeroya. Chłopcy twierdzili, że Ivy nie znosi psów i nie uspokoi się, póki wszystkich po kolei nie wykończy.

Czerwona jego twarz upstrzona była drobnymi piegami niby cętkami rdzy. Rysy miał twarde, policzki z dwoma dołkami, jak wyciętymi w sękatym drzewie, bynajmniej nie dodawały twarzy łagodności. Dłonie robiły wrażenie tak samo spuchniętych jak twarz, skóra na wierzchu i przy kostkach marszczyła się jakby zbyt mocno naciągnięta. Ivy Peters był naprawdę bardzo brzydkim chłopcem, lecz lubił własną brzydotę.

Oświadczył, że na polowanie jest za gorąco, ale nieco później zamierza zakraść się na bagna i ustrzelić parę kaczek. -- Przemknę się przez pola kukurydzy, zanim mnie stary zobaczy. On się mało rusza...

-- Powie twojemu ojcu.

--- Ojciec gwizdże na to. -- Niespokojne oczy mówiącego pobiegły w górę, pomiędzy gałęzie drzewa. -- Patrzcie no, dzięcioł. Stuka sobie w drzewo, jakby nas tu wcale nie było. Bezczelność!

-- Dzięcioły są pod ochroną, więc nie boją się nikogo -- odparł George, zawsze dokładny.

-- Też coś! Zniszczy staremu las. Podziurawił całe drzewo. Zaraz go tu spędzę na dół.

Niel i George Adams usiedli zaniepokojeni.

-- Nawet nie próbuj tu strzelać, bo wszyscy będziemy mieli nieprzyjemności.

-- Ona usłyszy strzał w domu i zaraz tu przyleci! -- krzyknął Ed Elliot.

-- A niech przyleci, zarzumiała damulka! Kto w ogóle mówi o strzelaniu? Są różne sposoby na psy, nie tylko zatrute masło.

Na tak zuchwałe oświadczenie chłopcy spojrzeli po sobie ze zdumieniem, a brunatne bliźniaki Weaverów z konwulsyjnym chichotem rzuciły się na trawę. Lecz Ivy obojętnie przyjmował fakt uznania go za specjalistę od psów. Wyciągnął z kieszeni metalową procę i kilka okrągłych kamyków. -- Nie zabiję go, tylko

TO

zmuszę do zejścia z drzewa. Obejrzymy sobie ! ptaszka z bliska.

-- Zakład, że nie trafisz.

-- Zakład, że trafię. -- Przyłożył kamień do rzecmyka, zmrużył oczy, wycelował i puścił rzemień. Ptak upadł do jego stóp, jak było do przewidzenia. Ivy narzucił na niego swój ciężki kapelusz z czarnego * aksamitu. Nigdy nie nosił słomkowych kapeluszy, nawet gdy było bardzo gorąco. -- A teraz poczekajmy. Przyjdzie do siebie. Za minutę usłyszycie, jak bije skrzydłami.

-- W każdym razie to nie samiec,, tylko samiczka. Każdy potrafi odróżnić -- powiedział Niel z pogardą, rozgoryczony obecnością ogólnie nie lubianego chłopca, który jakby naumyślnie zjawił się, by popsuć im popołudnie. Nie mógł mu darować wyzlicy wuja.

-- W porządku, panno samiczko -- odparł Ivy Peters z lekceważeniem. Zajęty był jakąś własną myślą. Wyjął z kieszeni małe pudełko z czerwonej skóry, a gdy je otworzył, chłopcy ujrzeli dziwne narzędzia -- małe cienkie ostrza do nożyków, jakieś haczyki, lancety, zagięte igły, pilnik, dmuchawkę i nożyczki.

-- Niektóre rzeczy dostałem w „Ekwipunku młodzieńca" razem z przyrządami do preparowania zwierząt, a niektóre sam zrobiłem. --■ Sztywno osunął się na kolana, jego ciało niechętnie zginało się w stawach, i przyłożył ucho do kapelusza. -- Skacze jak konik polny -- oznajmił. Szybkim ruchem wsunął rękę pod skrzydło kapelusza i wyciągnął ptaka. Oszolomiony dzięcioł nie krwawił i nie robił wrażenia skaleczonego.

-- A teraz patrzcie uważnie, coś wam pokażę. -- Złożył kciuk i palec wskazujący w kształt pętli; nasadził je na głowę ptaka, obejmując jednocześnie dłonią drżące ciało. Ruchem szybkim jak mgnienie oka, jak gdyby dawno już wyćwiczonym, wy łupił przy pomocy ostrego lancetu jedno oko, płonące w małym, głupim łebku, potem drugie i puścił ptaka wolno.

Dzięcioł wzbil się w powietrze ruchem wirującym, pomknął na prawo, uderzył o pień drzewa, na lewo -- i ponownie uderzył w drzewo. W dół i w górę, naprzód i w tył, wśród gmatwaniny gałęzi ptak fruwał strosząc piórka, spadał na ziemię i wzbijał się ponownie. Chłopcy wstali. Przyglądali się nie wiedząc, co zrobić. Nie odznaczali się szczególną wrażliwością: Tadek zawsze gotów był pomóc w rzeźni, gdy go wzywano, a chłopcy Bluma żyli z zabijania zwierząt. Trudno im było uwierzyć, że widok zranionego ptaka potrafi ich do tego stopnia przygnębić. Oślepiony dzięcioł bił skrzydłami wśród gałęzi dziko, rozpaczliwie, krążył w słońcu, czuł jego promienie nie widząc i tylko łebek wysuwał, jak robią ptaki, gdy piją wodę. Wreszcie udało mu się wylądować na tej samej gałęzi, z której został strącony -- zdawał się poznawać to miejsce. Jakby nauczony tym, co go spotkało, ostrożnie wymacał dziobem drogę do dziupli i zniknął w jej wnętrzu.

-- Słuchajcie! -- krzyknął Niel Herbert przez zaciśnięte zęby. -- Mogę ją teraz złapać i zabić, żeby się dłużej nie męczyła. Ehein, podstaw mi plecy.

Rheinhold był z nich wszystkich najwyższy i posłusznie zgął kościsty grzbiet. Wdrapać się na topolę nie jest rzeczą łatwą -- kora na pniu jest chropowata, a gałęzie rosną wysoko. Niel rozdarł spodnie i podrapał sobie nogi, zanim dostał się na pierwsze rozwidlenie konarów. Odetchnął chwilę i wspinał się dalej, dziupla dzięcioła znajdowała się wyjątkowo wysoko. Był już niemal u celu i towarzysze na dole sądzą, że jest bezpieczny, gdy nagle stracił równowagę, wywinął koziołka w powietrzu i runął do ich stóp. Leżał na ziemi bez ruchu.

-- Leć po wodę!

-- Leć po panią Forrester! Poproś o trochę whisky.

-- Nie -- powiedział George Adams -- lepiej zanieśmy go do niej. Będzie wiedziała, cóż trzeba zrobić.

-- Racja -- przyznał Ivy Peters. Był o wiele większy i silniejszy od wszystkich, dźwignął bezwładne ciało i ruszył pod górę. Przyszło mu do głowy, że nadarza się sposobność wejścia do tego domu -- zobaczy nareszcie, jak jest w środ- jku, zawsze tego pragnął.

Kucharka Mary ujrzała ich z okna kuchni i pobiegła po panią. Kapitan Forrester był tego dnia w Kansas City.

Pani Forrester wyszła do drzwi kuchennych. -- Co się stało? Mój Boże! Co tobie, Niel? Nieście go tędy, proszę.

Ivy Peters poszedł za nią. Rozglądając się dokoła, chłopcy podążyli w jego ślady -- wszyscy z wyjątkiem Blumów, którzy wiedzieli, że ich miejsce jest za progiem kuchennym. Pani Forrester szła przodem wskazując drogę przez spiżarnię, jadalnię, mały salonik do swego pokoju. Zerwała z łóżka białą kapę i Ivy położył Niela na pościeli. Pani Forrester była przejęta, lecz nie przerażona.

-- Mary, przynieś z kredensu brandy. George, zatelefonuj po doktora Dennisona, żeby zaraz tu przyszedł. A wy, chłopcy, wyjdźcie na ganek i spokojnie czekajcie. Za dużo was tutaj.

Uklękła przy łóżku i wsunęła łyżeczkę z koniakiem między białe wargi Niela. Chłopcy wyszli i tylko Ivy pozostał w saloniku tuż za progiem sypialni -- skrzyżował ramiona na piersi i oczami o zuchwałym, nieugiętym spojrzeniu chłonął otoczenie.

Pani Forrester spojrzała na niego przez ramię. -- Proszę cię, poczekaj na ganku. Jesteś starszy od tych malców i zawołam cię w razie potrzeby.

Ivy zaklął w duchu, lecz musiał odejść. Było w jej uprzejmości coś nieodpartego -- jaśnie-pańskie tony, jak mówił. Zamierzał usiąść w największym skórzanym fotelu, skrzyżować nogi i czuć się jak u siebie; zamiast tego znalazł się na ganku -- delikatnie modulowany głos pani Forrester wyprosił go z pokoju z równym

skutkiem co kopniak najtęższego w mieście zabijaki.

Niel otworzył oczy i rozejrzył się ze zdumieniem po wielkim, na wpół ciemnym pokoju, pełnym starych orzechowych mebli. Leżał na białym pościeliu, oparty o poduszki z falbankami, a pani Forrester klęczała obok i zmywała mu czoło wodą kolońską. Czeszka Mary stała obok niej trzymając miednicę z wodą. -- Och, moje ramię! -- wymamrotał i twarz jego pokryła się potem. -- Tak, kochanie, obawiam się, że jest złamane. Nie ruszaj się. Doktor Dennison będzie tu za parę minut. Czy bardzo cię boli, powiedz?

-- Nie, proszę pani, nie bardzo -- odpowiedział słabym głosem. Odczuwał ból, ale również i przyjemne osłabienie, bardzo przyjemne. W pokoju było chłodno, mroczno i cicho. W jego domu wszystko było okropne, gdy ktoś zachorował... Jakie delikatne palce miała pani Forrester, jaka to śliczna pani! Widział jej: białą krtań unoszącą się i opadającą szybko wśród kolorowych falbanek sukni. Wstała nagle, by zdjąć błyszczące pierścionki -- zsunęła je w szerokie dłonie Mary ruchem tak szybkim, jakby je zmyła z palców. Chłopczyk pomyślał, że pewnie nigdy więcej nie znajdzie się już w tak przyjemnym miejscu. Okna sięgały podłogi, jak drzwi, a zielone żaluzje wpuszczały smugi słonecznego światła, które drżały na lśniącej posadzce i srebrnych przedmiotach ustawionych na toalecie. Ciężkie zasłony podwiązane były sznurem grubym jak lina. Marmurowa umywalka była tak duża jak szafa. Meble z masywnego orzecha miały intarsje z jasnego drzewa. Niel jako właściciel ręcznej piły sprężynowej interesował się intarsją.

-- No, wygląda już trochę lepiej, prawda, Mary? -- Pani Forrester przeczesła palcami ciemną czuprynę Niela i leciutko pocałowała go w czoło. Och, jak słodko, jak słodko pachniała!

-- Powóz na moście, to doktor Dennison! Idź i przyprowadź go, Mary.

Doktor Dennison nastawił ramię Nrela i zabrał chłopca swoją bryczką. Niemiły był powrót do domu: dom miał ściany cienkie jak skorupka jajka i stał na skraju prerii, gdzie mieszkali ludzie nieważni, pospolici, prości. Gdyby nie fakt, że Niel był siostrzeńcem sędziego Pommeroya, pani Forrester witałaby go tylko pogodnym skinieniem głowy jak innych chłopców. Ojciec Niela był wdowcem. Domem zajmowała się uboga krewna, stara panna z Kentucky, i zdaniem Niela robiła to najgorzej w świecie. Dom był zawsze w różnych stadiach prania, pełen brudnej bielizny, bezustannie moczony w kotłach i miednicach, a pościel wietrzyła się tak długo, póki kuzynce Sadie nie przyszło do głowy -- gdzieś późnym popołudniem -- zasłać łóżka. Lubiła po śniadaniu siedzieć i czytać o zbrodniach i procesach sądowych albo przeglądać sfatygowany egzemplarz „St. Elmo”. Sadie miała dobre serce i wiecznie biegała po

sąsiadach potrzebujących pomocy, lecz Niel nie 1 znosił, gdy któryś z nich przychodził w odwie- t dżiny. Ojciec rzadko bywał w domu, cały dzień j spędzał w biurze. Prowadził księgi ziemskie \ hrabstwa i załatwiał farmerom pożyczki banko- 1 we. Nie posiadając żadnego majątku prowadził | sprawy majątkowe swych klientów. Był to człowiek miły i uprzejmy, młody jeszcze i przystojny, dobrze wychowany, mimo to Niei wy- ezuwał w rodzinie nastrój niepowodzenia i porażki. Przyłgął do brata matki, sędziego Pom- meroya, o białych wąsach i słusznej postawie, który był doradcą prawnym kapitana Forreste- ra i przyjacielem wszystkich wielkich osobistości odwiedzających Forresterów. Niel był bardzo dumny, podobnie jak jego matka; umarła, gdy miał pięć lat. Nienawidziła Zachodu i wyniośle zapewniała sąsiadów, że życie jest dla niej możliwe tylko w hrabstwie Fayette w stanie Kentucky, a na Zachód przybyli wyłącznie po to, by inwestować i', „inwestując gro-;, sze zbić majątek". Dzięki temu powiedzeniu wciąż żyła w pamięci sąsiadów, biedaczka.

Rozdział 3

W ciągu następnych kilku lat Niel rzadko widywał panią Forrester. Wnosiła ożywienie, które zjawiało się i znikalo wraz z latem. Spę~ dzała z mężem zimę w Denver i Colorado Springs; opuszczali Sweet Water tuż po święcie

Dziękczynienia i wracali z początkiem maja. Niel wiedział, że pani Forrester go lubi, lecz nie może poświęcać wiele czasu takim jak on wyrostkom. Gdy wydawała dla swych gości kolację w ogrodzie albo urządzała tańce w lesie, w księżycową noc, Niel zawsze był zaproszony. Gdy wybierał się z chłopcami Bluma na mokradła, spotykał niekiedy na drodze kapitana wiozącego gości bryką, a potem słyszał o tych ludziach od Czarnego Toma, wiernego służącego sędziego Pommeroya, który chodził do pani Forrester podawać do stołu w czasie przyjęcia.

Potem zdarzył się ten wypadek, który przeciął karierę kapitana jako budowniczego kolei. Kapitan po upadku z konia przeleżał w Colorado Springs, w hotelu „Pod Jelenimi Rogami", całą zimę. Jeszcze latem, gdy pani Forrester przywiozła go do domu, do Sweet Water, chodził o lasce. Roztył się, zdawał się przytłoczony ciężarem własnego ciała i przestał wspominać o podpisaniu kontraktu na budowę kolei. Zdolny do pracy w ogrodzie, przycinał krzewy buldone- żów i bzu, wiele czasu poświęcał hodowli róż. Wyjeżdżali oboje z żoną na zimę, lecz z każdym rokiem na krócej.

A tymczasem w mieście Sweet Water zachodziły zmiany. Przyszłość nie rysowała się już tak jasno. Powtarzające się złe zbiory załamały farmerów. George Adams powrócił wraz z rodziną do Massachusetts, rozczarowany Zachodem. Pozostali właściciele rancz jeden po drugim szli za jego przykładem. Mniej było goś-

ci w domu Forresterów. Burlington -- mówili ludzie-- chowa rogi i dygnitarze kolejowi rządziej zatrzymywali się w Sweet Water -- woleli omijać miasto, w którym utopili kiedyś pieniądze.

Ojciec Niela Herberta był jednym z pierwszych nieszczęśników przypartych do muru. Zamknął swój domek, kuzynkę odesłał z powrotem do Kentucky, a sam wywędrował do Denver przyjmując posadę w jakimś biurze. Niel został, by uczyć się prawa w kancelarii wuja Chłopiec nie tyle przepadał za prawem, co lubił sędziego, i na razie mógł równie dobrze pozostać w Sweet Water jak gdzie indziej. Dziedziczone po matce kilka tysięcy dolarów otrzyma nie prędzej, aż skończy dwadzieścia jeden lat.

Niel urządził sobie pokoik na tyłach apartamentu, w którym sędzia miał kancelarię, na drugim piętrze najbardziej w całym mieście, pretensjonalnej kamienicy z czerwonej cegły. Mieszkał w czystości i surowości, zadowolony, że uwolnił się od kuzynki i jej kapryśnych metod gospodarowania, postanowił nawet zostać na zawsze kawalerem, jak wujek. Opiekował się kancelarią, znaczyło to, że spełniał obowiązki woźnego. Pokoje urządził wedle własnego gustu i wyglądały tak ładnie, że wszyscy przyjaciele sędziego, zwłaszcza kapitan Forrester, wpadali na pogawędkę częściej niż dotąd.

Sędzia dumny był z siostrzeńca. Niel skończył już dziewiętnaście lat i był chłopcem wy-

sokim, prawym i rozważnym. Rysy twarzy miał wyraziste, siwe głębokie oczy dzięki długim rzęsom zdawały się czarne, a wyraz ich był chmurny i wyzywający. Świat nie przedstawiał się młodym ludziom w owych latach zbyt ponętnie. Dystans i rezerwa, nie wynikające z zakłopotania czy próżności, lecz krytycznego nastawienia umysłu, czyniły z Niela chłopca starszego, niż był w istocie, i nieco chłodnego.

Pewnego zimowego popołudnia, kilka dni zaledwie przed Bożym Narodzeniem, Niel siedział w kantorku pisząc przy długim stole, gdzie miał zwyczaj pracować lub próżnować, otoczony piękną biblioteką sędziego i rycinami przedstawiającymi wielkich mężów stanu i prawników. Wuj był w kancelarii przy biurku; udzielał porad jednemu ze swych klientów spoza miasta, gawędząc życzliwie. Niel, znudzony kopiowaniem dokumentów, zastanawiał się właśnie, pod jakim by pretekstem wyjść na ulicę, gdy nagle wydało mu się, że w przyległym korytarzu | zabrzmiały lekkie, szybkie kroki. Drzwi kancelarii otwarły się, usłyszał, że wujek pospiesznie wstaje i w tej samej chwili rozległ się kobiecy śmiech -- cichy, melodyjny śmiech, który wzniósł się i opadł jak wartko zagrana gama. Niel okręcił się razem ze swym obrotowym krzesłem, by przez szeroko otwarte drzwi zajrzeć do drugiego pokoju. Stała tam pani Forrester i witała sędziego i zdumionego farmera, Szweda, potrząsając mufką, w której uwięzła

jej dłoń. Szybkim spojrzeniem ogarnęła flaszkę j wódki i dwie szklanki stojące na stole wśród papierów.

-- Ach,- więc w taki sposób przygotowuj^ pan sprawy do sądu? Ładny przykład dla Niela! -- spojrzała przez ramię i skinęła głową; chłopcu, który wstał z krzesła.

Niel pozostał w swym pokoju przyglądając, się pani Forrester z daleka: podziękowała sędziemu za krzesło, które jej podsunął, i grzecznym ruchem wyraziła odmowę, gdy zaproponował kieliszek wódki. Stała za biurkiem w długim fokowym futrze i takiejż czapce, znad kołnierza wyglądał rąbek szkarłatnej chustki, twarz ocieniała do połowy brązowa woalka w kropki. Woalka w najmniejszym stopniu nie mogła przyćmić blasku pięknych oczu, ciemnych, lecz pełnych światła pod niskim białym czołem i wydatnym łukiem brwi. Mroźne powietrze nie zabarwiło jej skóry -- miała zawsze wonną, kryształową biel białego bzu. Wystarczyło, by pani Forrester spojrzała na człowieka -- wiadomo, było, że go oczaruje. Czar jej działał natychmiast^ i przebijał najgrubszą skórę. Szwedzki farmer już szczyrzył zęby od ucha do ucha i również wstał z krzesła z hałasem. Nikt nie mógł oprzeć się tej kobiecie. Nawet najbardziej przelotny kontakt dawał skutek niezawodny. Jeden ukłon z jej strony, jedno spojrzenie i czułeś się jej przyjacielem- Miała w sobie dar podbijania ludzi w mgnieniu oka: działała jej kruchość, delikatność i wdzięk, jej usta, które potrafiły tak wiele powiedzieć bez słów, oczy, roześmiane i pełne życia, spojrzenie poufale i niemal zawsze nieco drwiące.

-- Czy przyjdzie pan, sędzio, razem z Nielem do nas jutro na kolację? I pożycz mi pan Toma? Przyjeżdżają Ogdenowie, dostaliśmy depeszę. Wracają ze Wschodu. Pojechali tam po córkę -- miała świnkę czy coś w tym rodzaju. Gwiazdkę chcą spędzić w domu, ale na dwa dni zatrzymają się u nas. Możliwe, że przyjedzie Frank Ellinger z Denver.

-- Nic nie może mi sprawić większej przyjemności jak zaproszenie do pani Forrester na kolację -- oświadczył ceremonialnie sędzia.

-- Pięknie dziękuję! -- złożyła-mu żartobliwy ukłon i odwróciła się w stronę szerokich, otwartych drzwi. -- Niel, czy możesz zrobić przerwę w pracy wystarczającą, by odwiedzić mnie do domu? Pan Forrester zajęty jest jeszcze w banku.

Niel nałożył kurtkę z wilków. Pani Forrester ujęła go pod ramię, ręka jej spoczęła na włóchatym rękawie i poszli we dwoje długim korytarzem, potem wąskimi schodami w dół -- i na ulicę.

Sanki jej, przywiązane do słupa, wyglądały przy chłopskich saniach i wozach jak zabawka. Niel otulił panią Forrester fartuchem z bawolich skór, skoczył do sań i siadł obok niej. Kuce nie czekając na komendę ruszyły z miejsca po zamrożonej drodze; pomknęły główną ulicą, niemal pustą, przejechały przez rzeczkę po lo-

' dzie i podreptały drogą obrzeżoną topolami w kierunku domu na wzgórzu. Późne popołudniowe słońce płonęło na pastwiskach okrytych śnieżną, kruchą pokrywą. Topole zdawały się bardzo wysokie i wyprostowane, wychudłe i surowe w swej zimowej nędzy. Pani Forrester gawędziła z Nielem odwrócona ku niemu twarzą, którą osłaniała mufką przed wiatrem,

-- Musisz mi pomóc w zabawianiu Konstancji, liczę na ciebie. Czy możesz mnie wyręczyć pojutrze? Przyjdź po południu. Obowiązki zawodowe jeszcze cię chyba nie wiążą zbyt poważnie? -- Uśmiechnęła się zalotnie. -- Co mogę robić z dziewiętnastoletnią panną? Ze studentką? Nie zapewnię jej uczonej rozmowy.

-- Ani ja, z całą pewnością! -- wykrzyknął Niel.,

-- Ale jesteś chłopcem. Może ci się uda zsh interesować ją czymś mniej poważnym.

Uchodzi za ładną panienkę.

-- A pani co o niej sądzi?

-- Dawno jej nie widziałam. Zwracały uwagę jej turkusowe oczy i strzecha żółtych włosów, właściwie nie żółtych, tylko- tak zwanych -- popielatoblond!

Niel dawno już spostrzegł, że pani Forrester opisując urodę innych kobiet zawsze z nich trochę kpiała.

Zajechali przed dom. Ben Keezer wybiegł z kuchni, by zająć się kucami.

-- Musisz pojechać po pana Forrestera o szóstej, Ben. Niel, wejdź na chwilę i ogrzej się. -- Pociągnęła go za sobą przez boczne wąskie drzwi używane na czas zimy zamiast głównego wejścia. -- Pbwieś kurtkę i chodźmy.

Poszedł za nią przez mały salonik do dużego, gdzie na palenisku płonął węgiel pod czarnym gzyms era kominka, i usiadł w głębokim, skórzanym fotelu, w którym kapitan Forrester uciął sobie drzemkę po obiedzie. Był to dość ciemny pokój, z oszkloną orzechową biblioteką o rzeźbionym szczycie. Podłogę pokrywał czerwony. dywan, na ścianach wisiały duże, staroświeckie sztychy: Dom poety, W ostatnim dniu Pompei, Szekspir czytający przed królową Elżbietą.

Pani Forrester odeszła i po chwili wróciła z tacą, na której stała karafka z winem i kieliszki. Postawiła ją na stoliczku do- fajek kapitana, nałala dla Niela i dla siebie i przysiadłszy na poręczu wyściełanego fotela popijała sherry drobnymi łykami; nogi w pantofelkach ze srebrnymi klamrami wysunęła w strony płonącego ognia.

-- Miło pomyśleć, że zostanie pani przez całe święta -- rzekł Niel. -- O ile pamiętam, zdarzyło się to tylko jeden raz.

-- Obawiam się, że w tym roku pozostaniemy przez całą zimę; Pan Forrester uważa, że nie stać nas na podróż. Nie wiem czemu, ale jesteśmy chwilowo okropnie bez pieniędzy.

-- Jak wszyscy -- odparł chłopiec ponuro.

-- Tak, jak wszyscy. Mimo to nie sądzę, żeby warto było z tego powodu tracić humor,

prawda? -- Napełniła obydwa kieliszki. -- Zawsze o tej porze piję sherry. W Colorado- Springs niektórzy znajomi pijali herbatę, jak Anglicy. Ale ja bym się czuła strasznie stara pijąc herbatę! Poza tym sherry dobrze mi robi na gardło. -- Niel przypomniał sobie opowieści o piersiowej chorobie i groźnych krwotokach. Lecz trudno było wierzyć w takie rzeczy, gdy się spojrzało na panią Forrester -- drobną, delikatną, ale jakżeż pełną wspaniałej, musującej witalności. -- A może naprawdę wydają ci się starą kobietą, Niel? Staruszką; dla której¹ dobry już jest tylko czepek i filiżanka herbaty?

Uśmiechnął się w skupieniu. -- Dla mnie pani się nie zmienia. Zawsze taka sama.

-- Naprawdę? A jaka, powiedz?

-- Śliczna. Po prostu śliczna.

Schylając się, by postawić kieliszek na stoliku, pogłaskała chłopca po twarzy.

-- Będiesz w sam raz dla Konstancji. -- Potem dodała z powagą: -- Bardzo się cieszę** Chcę, żebyś mnie lubił na tyle, by często u nas bywać w zimie. Przychodzi z wujkiem na czwartego do wista. Pan Forrester musi mieć wieczorem swego wista. Czy nie zdaje ci się, że gorzej wygląda, Niel? Widzę z przerażeniem*! że traci władzę w nogach. Ale co robić? NaJ^ż^ ufać, że szczęście nas nie opuści.

Podniosła kieliszek do połowy napełniony winem i przyjrzała mu się pod światło.

Niel z przyjemnością śledził odbłask ognia grający na jej długich kolczykach w kształcie lilijek z granatów i pereł. Była jedyną znajomą kobietą noszącą kolczyki: pasowały do jej trójkątnych policzków. Dostała od męża również inne kolczyki, ładniejsze, lecz kapitan właśnie te lubił najbardziej, ponieważ należały do jego matki. Sprawiał mu przyjemność fakt, że żona nosi biżuterię; była to dla niego rzecz ważna. Pierścionki zdejmowała z palców tylko w kuchni.

-- Zima na wsi dobrze mu robi -- powiedziała pani Forrester przerywając milczenie i oderwała wzrok od ognia, w którym przez chwilę zdawała się z napięciem czytać wynik obecnych trudności. -- Bardzo kocha ten dom., Ale musicie uważać na niego, kiedy jest w mieście. Gdy jest zmęczony lub gorzej wygląda^ trzeba go pod jakimkolwiek pretekstem odwieźć do domu. Inaczej czuje się dziś po kilku kieliszkach niż dawniej -- zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy drzwi do pokoju jadalnego są zamknięte. -- Zeszłej zimy pił raz z przyjaciółmi „Pod Jelenimi Rogami” -- nic wielkiego, wypił tyle co zawsze, tyle, ile mężczyzna powinien umieć wypić -- ale dla niego okazało się za dużo. Kiedy znalazł się na powietrzu i szedł do powozu dość długim podjazdem, upadł, wyobraź sobie. A nie było lodu, nie pośliznął się. Po prostu niepewnie trzymał się na nogach. Wstał z trudem. Kiedy sobie przypomniał, jeszcze dziś drzę ze strachu -- odczuwam to, jakby się góra zawaliła.

Nieco później Niel schodził ze wzgórza wpa-

trując się z zachwytem w czerwień zachodzącego słońca. A więc w tym roku zima zapo- \ wiada się nieźle! Dziwnie pomyśleć, że pani Forrester tu będzie, taka kobieta jak ona wśród-
pospolitych ludzi! Nawet w Denver nie widział nigdy równie wytwornej pani. W hotelowej
.jadalni obserwował schodzące na kolację elegantskie ze Wschodu, które w drodze do Kalifornii
zatrzymały się w „Brown Pałace”. Tak interesującej i wytwornej jak pani Forrester nigdy nie
spotkał. W porównaniu z nią wszystkie inne kobiety wydawały się nudne i brzydkie; a nawet te
ładne były jakby bez życia--| brakowało im w spojrzeniu tego czegoś, co zapala w człowieku
krew. Nigdy dotąd nie sły-; szał śmiechu, -który byłby tak kuszący i tak melodyjny jak muzyka
do tańca, gdy dociera z daleka, poprzez otwierane i zamykane drzwi.

Pamiętał doskonale, kiedy ujrzał panią For- .rester po raz pierwszy w życiu, będąc jesae«e|
małym chłopcem. Wałęsał się w jakiś niedziel-) ny poranek przed kościołem episkopalnym,
gdy - przed drzwiami zajechał niski powóz. Na przednim siedzeniu, siedział Ben Keezer, a z tyłu,
samot-| nie, jakaś pani w czarnej jedwabnej sukni z koronkami i falbankami, w czarnym
kapeluszu i z parasolką o rzeźbionej ręczce z kości słoniowej. Gdy powóz zatrzymał się,
uniosła lekko, spódnicę, by wysiąść: z powodzi białych jak piana halek wysunęła nóżkę w
czarnym błyszczącym pantofelku. Stąpnęła lekko na ziemię i skinąwszy głową woźnicy
podażyła do wnętrza
kościoła. Chłopiec wsunął się za nią przez otwarte drzwi i zobaczył, jak weszła do ławki i
ukłękła. Był teraz dumny z siebie, że potrafił wówczas rozpoznać kogoś, kto należał do innego
niż on świata.

Na końcu ścieżki .Niel przystanął, by ogarnąć spojrzeniem długi rząd nagich wychudłych
topoli: nad ostrym wierzchołkiem ostatniego drzewa wisiała pusta, zimna tarcza srebrnego -
księżycy.

Rozdział 4

Przy dobrej pogodzie sędzia Pommeroy chodził do domu kapitana na piechotę, lecz z
powodu wydanej dla Ogdenów kolacji wynajął w mieście woźnicę w liberii, by zawiózł go z
siostrzeńcem jednym z powozów używanych tylko na pogrzeby i wesela. Zalaływały mocno
stajnię, a skórzane fartuchy ciężkie były jak z ołowiu i śliskie jak cerata. Nikt więcej z miasta
nie był zaproszony na ten wieczór. Niel i sędzia pojechali przez rzeczkę i na wzgórze z całą
pompą i wysiedli pokryci końskim włosiem. - \

Kapitan Forrester powitał ich w drzwiach; jego potężna postać rozsadzała ciasno zapięty
staroświecki frak, na otwarty kołnierz i wąski krawat wylewały się fałdy podbródka. Twarz
miał starannie wygoloną z wyjątkiem długich, burych wąsów. Zebrani za jego plecami goście
śmiali się, gdy Niel chwycił za szczotkę, by oczyścić z końskiego włosa czarny sukieny su-

I

rdut wuja. Z kolei pani Forrester oczyściła Nie-j la, a potem zaprowadziła do saloniku i przedstawiła pani Ogden i jej córce.

Raczej ładna panienska -- pomyślał Niel w bladuróżowej sukience odsłaniającej gładkiej ramiona i pulchną, jeszcze dziecinną szyję; Oczy miała rzeczywiście turkusowe -- jak mó-j wiła pani Forrester, duże i bez wyrazu. Popie- Iatozłociste runo włosów otaczało jej głowę] ujęte srebrną przepaską. Pomimo świeżej, róioA wej cery twarz jej wcale nie była przyjemna.] . Od krótkiego nosa do kącików ust biegły dwie bruzdy zdradzające usposobienie kwaśne. Gdy) była choćby trochę z czegoś niezadowolona] linie te sztywniały, nos wydłużał się i cała twarz nabierała wyglądu podejrzanego i obrażonego. Niel siadł koło panny, lecz mimo wiel-j kich starań musiał w końcu stwierdzić, że nie' była skłonna do rozmowy. Robiła wrażenie zdenerwowanej i czymś zajętej, raz po raz zerkając przez ramię gniojąc w dłoni chusteczkę, było, że myślami jest gdzie indziej. Po krótkiej chwili odwrócił się do matki, którą łatwiej ło zabawić. Pani Ogden była osobą prawie nie pospolitą. Twarz miała podłużną jak gruszka, nad nią rząd płaskich, wysuszonych loczków przylepionych do wysokiego czoła. Oliwkowa skóra miała odcień jej wieczorowej fioletowej! sukni. Na pomarszczonej szyi lśnił brylantowej naszyjnik. W przeciwieństwie do Konstancji] wydawała się całkiem życzliwa, lecz w ro#]j wie często przechylała głowę i spod uniesionych brwi rzuciła powłóczyście spojrzenia, na co, jego zdaniem, mogły sobie pozwolić tylko ładne kobiety. Prawdopodobnie przez długi czas (przebywała wśród ludzi widzących w niej waż- [ną osobistość i stąd pozostały jej pozy rozpieszczonej ulubienicy. Niel miał ją zrazu za osobę głupią, lecz po krótkim czasie przywykł do dziwacznych min i nabrał do pani Ogden sympatii. Ani się nie spostrzegł, gdy już śmiał się serdecznie i zupełnie zapomniał o niepowodzeniu z Konstancją.

Pan Ogden, mały, wychłostany życiem mężczyzna lat pięćdziesięciu, miał jedno oko krzywe, nosił sztywną małą bródkę „imperial" i podkrecone do góry wąsy; był nieporównanie' spokojniejszy i mniej gadliwy, niż go Niel pamiętał przy wcześniejszych okazjach w tym domu. Wodził nie uszkodzonym okiem za panią Forrester i mrugał, kiedy zwracała się do niego lub przechodziła w pobliżu -- drugie oko, patrzące krzywo, pozostało bez zmian, niczym nie zajęte.

Nagle wszyscy ożywili się: powietrze jakby pocieplało, lampy jakby pojaśniały, gdy do pokoju wszedł czwarty gość z Denver, niosąc tacę pełną lśniących kieliszków. Frank Ellin- ger, kawaler lat czterdziestu, mierzył sześć stóp i dwa cale, miał długie szczupłe nogi, wspaniałe ramiona i figurę wciąż jeszcze tak zgrabną, że mógł sobie pozwolić na zapinanie ostatniego guzika obcisłej białej kamizelki bez

obawy, że się zmarszczy pod znakomicie skrojonym frakiem. Czarne włosy, szorstkie i skręcone jak włosie w materacu, siwiały nad uszami, drobne żyłki na zażywej twarzy poczerwieniały koło nosa -- nosa o długich nozdrzach! i wydatnego jak dziób okrętu. Broda o głęboko-f kim wgięciu, grube wywinięte wargi, zdradza-^ jące siłę i wielkie opanowanie, i mocne białe zęby, nierówne, zakrzywione, dawały mu wy-, głąd człowieka, który potrafiłby jednym zaci-l śnięciem szczęki przegryźć żelazny pręt. Miał; ciało, w którym przez ubranie czuło się energię,| siłę i fizyczny niepokój, coś z okrucieństwa? dzikiego zwierzęcia. Niel był ogromnie zaintrygowany Ellingerem, bohaterem wielu dwuzna-: cznych historyjek. Sam nie wiedział, czy można go lubić, czy nie. Wprawdzie nie słyszał o nim nic złego, wyczuwał jednak w tym człowieku jakieś zło

Cocktaile były sygnałem do ogólnej rozmowy; i towarzystwo złączyło się w jedną grupę. NaJ wet panna Konstancja wydała się mniej nieza-t dowolona. Ellinger wypił cocktail stojąc obok jej krzesła i ofiarował! wiśnię ze swegg^kiali^Złi ka. Były to staroświeckie cocktaile ze szkocką wódką. Nikt wówczas nie pijał wermutu Martini, a dżin uważano za pociechę marynarzy i rozpitych sprzątaczek.

-- Bardzo dobre, Franku, bardzo dobre -- powiedział kapitan i otarł wąsy chustką pachnącą wodą kolońską. -- Czy zarządzimy powtórkę? -- Mówiąc sapał lekko. Oczy, skłonne do łzawienia i nabiegłe krwią od czasu wypadku, mrugnęły spod ciężkich powiek do przyjaciół.

-- Jeszcze po jednej kolejce dla każdego, kapitanie. -- Ellinger wziął z kredensu solidny shaker | napełnił wszystkie kieliszki, omijając pannę Ogden. Pogroził jej paloem i zaproponował porcyjkę wiśni maraschino.

-- Nie, nie chcę maraschino. Chcę wiśnię z pańskiego kieliszka -- rzekła wydymając usta w kapryśnym uśmiechu. -- Lubię, kiedy ma wyraźny smak.

-- Konstancjo! -- upomniała ją matka i .potoczyła wzrokiem w stronę pani Forrester, jakby chciała podzielić się z nią wdziękiem niewinnej córeczki.

-r- Niel! -- zaśmiała się pani Forrester. -- Dajże temu dziecku i swoją wiśnię, dobrze?

Niel podszedł natychmiast i zaofiarował wiśnię leżącą na dnie kieliszka. Konstancja dwoma palcami przeniosła ją do swego, lecz pozostawiła nie tkniętą -- jak dostrzegł później ukradkiem, przechodząc do jadalni. Uparta, głupia klucha -- orzekł w duchu -- i na pewno szaleje za człowiekiem, który mógłby być jej ojcem. Westchnął stwierdziwszy, że posadzono go obok niej przy kolacji.

Kapitan Forrester wciąż jeszcze wyglądał władczo u szczytu stołu, gdy zawiązawszy pod brodą serwetkę przystępował do dzielenia pieczystego ręką, która nie zadrżała. Nikt zgrab-

niej od niego nie potrafił obrać z mięsa pary! kaczek lub dziesięciokilowego indyka. -- Jaką częśćkę można ci podać, pani? Kto w tym względzie miał specjalne życzenie, zawsze był wysłuchany, a wraz z porcją mięsa otrzymywał należną ilość nadzienia, sosu i jarzyn, wszystko starannie ułożone. Talerz z ręki kapitana oznaczał nie byle jaki posiłek -- człowiek był obsłużony, i to dobrze obsłużony. Panią Forrester zajmował się kapitan na ostatku, lecz przed panami, i zwracał się do niej również z pytaniem: -- Jaką częśćkę można' tobie podać, pani? -- Człowiek ten nie zmienił swych .powiedzeń ani obyczajów. Ciało miał równie mało ruchliwe jak twarz. Niel i sędzia Pommeroy często stwierdzali, że kapitan o- gromnie przypomina podobiznę prezydenta Cle- yelanda. Jego niezręczna, dostojna powaga kryła naturę głęboką i sumienie nieugięte. Spokój jego był spokojem góry. Dotknięciem mięsistej dłoni o grubych palcach przywracał uczucie spokoju spłoszonym koniom, zhistery- zowanym kobietom, irlandzkim robotnikom żądnym krwi, dawał im coś, czemu nie mogli się oprzeć. Na tym polegała jego tajemnica dowodzenia ludźmi. Jego prostota i zdrowie nie żądały niczego, nie domagały się niczego w sposób tak oczywisty, że stworzenia dręczone rozterką znajdowały przy nim ukojenie. Dawniej, w czasie budowy drogi przez Góry Czarne, zdarzały się bunty w obozie, gdy bawił z panią Forrester w Colorado Springs. Odkładał na bok otrzymaną depeszę z wiadomością o zamieszkach i mówił do żony: -- Dziecino, trzeba mi wracać do moich ludzi. -- Nie musiał robić nic więcej -- po prostu być z nimi.

Zajęty obowiązkami gospodarza, niewiele mówił i sędzia z Ellingerem bawili towarzystwo prześcigając się w opowiadaniu zabawnych historyjek. Niel siedział naprzeciw Ellin- gera i bacznie mu się przyglądał. Wciąż nie mógł się zdecydować, czy go lubi. Frank znany był jako król złotej młodzieży: taktowny, hojny, pełen pomysłów, lecz zawsze zdolny do trzymania się w ryzach; człowiek, który z dobrą miną wita to, co nieuniknione albo trudne do uniknięcia. W czasach młodości znany był ze swych wybryków, lecz nikt mu tego nie wypominał, nawet matki mające córki na wydaniu, jak pani Ogden. Inną rządzono się wówczas moralnością. Niel słyszał od wuja o młodzieńczym romansie Ellingera ze słynną Nellą Szmaragd: urodziwa i dość nieprzeciętna kobieta, prowadziła w Denver dom starannie nadzorowany przez policję. Otóż Nella Szmaragd miała powiedzieć jednemu z bywalców jej klubu, że chociaż młody Ellinger przewiózł ją swoim nowym kłusakiem, to jednak ona „nie może szanować mężczyzny, który w biały dzień jeździ z prostytutką”.

Często opowiadano tę historię i tuzin podobnych, a kobiety śmiały się równie serdecznie jak mężczyźni. Wzbogacając skandaliczną kronikę swego życia Ellinger jednocześnie potrafił

z oddaniem opiekować się nieuleczalnie chorą i matką i obcym ludziom przedstawiano go jak strasznego zawiadacza, ale wzorowego syna. Takie połączenie było w duchu epoki. Nikt nie myślał o Franku źle. Teraz, gdy matka już nie żyła, utrzymywał nadal jej dom w Colorado Springs, mieszkał jednak w Denver, w hotelu „Brown Palace”.

Gdy wszyscy byli już w połowie drogi, jeśli chodzi o pieczywo, Tom, niezwykle uroczysty i w białej kamizelce i wysokim kołnierzu, podał szampana. Kapitan Forrester ująwszy kruchą i nóżkę kielicha grubymi palcami objął spojrzęciem gości przy stole i panią Forrester i powiedział:

-- Szczęśliwych dni!

Toast ten wznosił zawsze przy kolacji, niezawodnie wypowiadał go przy szklance wódki ze starym przyjacielem. Kto raz usłyszał toast kapitana, ten natychmiast pragnął usłyszeć go po raz drugi. Nikt inny nie potrafił wymówić tych dwóch słów z równą powagą i namaszczeniem. Był to uroczysty moment, jakby stukanie do wrót przeznaczenia, za którymi ukryte są wszystkie dni-- szczęśliwe i inne. Nie wypił wina z przyjemnym dreszczem i pomyślał, iż nigdy jeszcze życie nie wydało mu się tak niepewne, a przyszłość tajemnicza i nieodgadniona, jak gdy z ust tego mocnego człowieka padły słowa toasty: „Szczęśliwych dni!”...

Pani Ogden zwróciła się do gospodarza z omdlewającym uśmiechem:

-- Tak bym chciała, kapitanie, żeby pan opowiedział Konstancji... -- (naprawdę brzmiało to tak: „Tak'm chciaaała, kap'tanie, żeb'an powieedził... etc.” Pochodziła ze wschodniej Wirginii i niemiłosiernie kaleczyła wymowę; w przeciąganiu samogłosek była podobna przesadą ca w jej powłóczystych spojrzeniach -- tak bym chciała, żeby pan opowiedział Konstancji o tym, jak odkrył pan to urocze miejsce dawno temu, jeszcze kiedy byli tu Indianie...

Kapitan spojrzał wzdłuż stołu szukając wśród świateł wzrokiem żony, jakby chciał spytać ją o radę. Uśmiechnęła się i skinęła głową, a piękne jej kolczyki zakotły się przy bladych policzkach. Włożyła tego wieczoru brylanty do Czarnej aksamitnej sukni. Mąż jej hołdował bardzo staroświeckim poglądom: kupuje się biżuterię żonie w uznaniu rzeczy, które trudno wyrazić właściwym słowem. Biżuteria musi być kosztowna, aby każdy widział, że stać go na takie kupno, a żona jest godna nosić klejnoty.

Za jej przyzwoleniem kapitan zaczął swoją historię: opowiedział pokrótce, jak to będąc młodym chłopcem przybył na Zachód prosto z wojska, po zakończeniu wojny secesyjnej, jak dostał miejsce woźnicy w spółce, która dostarczała poprzez równiny Nebraski towary żywnościowe do Cherry Creek, bo tak się wówczas nazywało miasto Denver. Gdy się człowiek znalazł na stepach ogromnych jak ocean -- sześćset mil szeroki -- tracił rachubę dni, tygodni i mie

sięcy. Jeden dzień podobny do drugiego, a wszystkie były wspaniałe: znakomite polowanie, obfitość zwierzyny -- antylop i bawołów -- bezmierny przestwór słonecznego nieba, bezmiar falującej trawy, długie laguny pełne świeżej wody i żółte od wodnych kwiatów, gdzie bawoły w okresie wędrówki przystawały, by napić się i wykapać, i wytarzać w błocie. ;

--Idealne życie dla młodego człowieka -- stwierdził kapitan. Pewnego razu, gdy musiał zbiec z drogi rozmytej deszczem, skręcił na południe, «by zbadać okolicę, i natknął się na ten indiański obóz w pobliżu Sweet Water, dokładnie w tym miejscu na wzgórzu, gdzie obecnie stał jego dom. -- Ogromnie -- rzekł -- zachwycało mnie to miejsce. -- I powiedział sobie, że pewnego dnia postawi tu dom. Ściął drzewo, ko młodej wierzby i ociosany kij wbił w ziemię tam, gdzie zamierzał zacząć budowę. Odjechał i przez wiele lat nie wracał: pomagał przy budowie pierwszych torów kolejowych na* równinie.

--Odpowiadałem za ludzi powiedział-- musiałem walczyć z chorobami, miałem wiele różnych obowiązków. Lecz przez wszystkie te lata nie było dnia -- tak sądzę -- bym nie wspominał Sweet Water i tego oto wzgórza. Byłem wówczas młody, ale w myśli ułożyłem sobie wszystko, prawie tak, jak jest dzisiaj; gdzie wykopię studnię, gdzie zasadzę las i sad. Postanowiłem wybudować dom, który będą odwiedzać przyjaciele i w którym zamieszka moja żona, taka jak pani Forrester, i uczyni to miejsce miłym dla wszystkich. I wciąż obiecywałem sobie, że pewnego dnia to zrobię. -- Tę część opowiadał kapitan nie tyle z zakłopotaniem, co z pewną rezerwą, powoli dobierając słowa; jednocześnie gniótł mocnymi palcami orzechy w wielkim roztargnieniu i wyłuskane ziarno układał w mały stos obok talerza. Przyjaciele domyślali się, że miał na myśli okres pierwszego małżeństwa i biedną chorowitą żonę, która nie zaznała szczęścia, jemu zaś krępowała ręce. ? |

-- W najmniej obiecującym momencie -- ciągnął dalej -- wróciłem tu pewnego dnia i kupiłem grunt od spółki kolejowej. Przyjęto moje weksle. Znalazłem kij wierzbowy --I puścił korzenie, wyrosło z niego drzewko -- i zasadziłem jeszcze trzy, wyznaczając węgly domu. W dwanaście lat później pani Forrester przyjechała tu wraz ze mną, wkrótce po naszym ślubie, i zbudowaliśmy sobie dom. -- Kapitan Forrester przerywał opowieść sapaniem, lecz jasność sprawozdania nakazywała uwagę. Unikał ozdobnych wyrażań, nadając prostym zdaniom wymowę sentencji rytych w kamieniu.

Pani Forrester dała mu znak z drugiego końca stołu kiwnięciem głowy.

-- Teraz opowiedz o swojej filozofii życiowej, bo w tym miejscu kolej na to! -- zaśmiała się przekornie.

Kapitan odkaszlnął zawstydzony. -- Miałem

zamiar pominąć dzisiejszego wieczora to, co niektórzy z naszych gości Już słyszeli,

-- Nie, nie! To należy do opowieści, kto Już . słyszał, chętnie posłucha Jeszcze raz, Zaczynaj!

-- A więc moja filozofia jest następująca! I jeśli się o czymś myśli dzień po dniu, planuje ją, dąży do czegoś nawet mimo woli, w końcu zawsze się to osiągnie, w mniejszym lub większym stopniu. Pod warunkiem, że człowiek nie należy do tych, co niczego w życiu nie osiągną. Bo kiedy

i tacy, Zbyt wiele czasu przeżyłem w kopalniach i wśród robotników przy budowie, bym . O tym nie wiedział, -- Zamilkł, Jak gdyby tym wspomnieniom, choć zbyt ciemnym, by wnikać w nie głębiej, należał się też osobny rozdział, chwila milczącego uznania, -- Jeśli nie należycie do takich ludzi, Konstancjo! Nie! Lu, pełnicie swoje największe marzenia,

-- Ale dlaczego? To właśnie jest ciekawe --] przynagliła go żona.

-- Ponieważ -- ocknął się z zamyślenia i rozejrzył po obecnych -- ponieważ jeśli marzy się o czymś w taki sposób, rzecz staje się przez to samo faktem dokonany. Nasz wielki Zachód powstał z takich właśnie marzeń -- marzyli hodowcy bydła i budowniczowie kolei, i badacze terenów. Marzyliśmy wszyscy pociągach biegnących przez pasma górskie, podobnie Jak ja marzyłam o tym domu w Sweet Water* Dla następnych pokoleń wszystko to będzie czymś zwykłym, ale dla nas,, -- Kapitan Forrester mruknął coś z urazą i zamilkł. W głosie jego zadźwięczała nuta buntu, którą tak często się słyszy w głosach starych Indian,

Pani Ogden słuchała opowiadania kapitana z takim przejęciem, że nie tylko ją polubił i nawet roztrzęsiona Korwancja robiła wrażenie zdolny) do skupienia. Po wszyscy wstali i przeszli do salonu, by zagrać w karty. Kapitan Forrester grywał w wista tak dobrze jak dawniej, Wyciągnął pudełko swoich najlepszych cygar i przystanął przed panną Ogden przytając; -- Czy dym pani nie przeszkadza? --- Ody uspokoiła go w tym względzie, przemierzył pokój i z taką pewnością etykiety spytał Konstancję która rozmawiała z Ellingerem: -- Czy czym nie przeszkadza pani Konstancji? Gdyby tam było jeszcze z pół tuzina kobiet, ka&dej zadałby to pytanie i prawdopodobnie w tych samych słowach. Powtórzenie zdania nie nużyło nigdy. Jeśli jakieś sformułowań i odpowiedziało Jego celom, nie widział żadnego powodu do zmian.

Pani Forrester Z panem Ogdenem mieli grać przeciwko kapitanowi i pani Ogden,

-- Konstancjo -- powiedziała pani Forrester siadając do Solika --- czy zagrasz z Nieumi? Mówiono mi, że gra świetnie**.

Panna Ogden zadarła nos, linie wzdłuż policzków pogłębiły się i znowu nadały jej wygląd osoby obrażonej, Nie był przekonany, że panna go nienawidzi. Postanowił się nie dać.

■PHI

4*

-- Panno Konstancjo -- powiedział stojąc; obok krzesła i w skupieniu tasując karty --> przywykliśmy z wujem grać we dwójkę, a panna Konstancja pewnie przywykła grać z panem Ellingerem. Może spróbujemy takiej kombinacji?

Posłała mu szybkie, podejrzliwe spojrzenie spod płowych rzęs i rzuciła się na krzesło nie trudząc się odpowiedzią. Frank Ellinger wy*ł wszedł z jadalni, gdzie próbował francuskiego koniaku kapitana, i zajął miejsce naprzeciwko panny Ogden.

-- A więc gramy razem, Connie? Bardzo mi przyjemnie! -- wykrzyknął i przełożył talie kart podsunętą przez Niela.

Tuż przed północą Czarny Tom otworzył drzwi i oznajmił, że grzane piwo jest gotowe. Gracze przeszli do pokoju jadalnego, gdzie na stole dymił trunek w wazie do ponczu.

-- Czy panna Konstancja umie śpiewać? -- spytał kapitan. -- Z chęcią posłuchałbym starej pieśni przy szklance grzanego piwa.

-- Przykro mi, panie kapitanie. Naprawdę nie mam głosu.

Niel zauważył, że Konstancja zwracając się do kapitana Forrestera mówiła głośniejszym głosem, chociaż kapitan wcale nie był głuchy. Przerwał natychmiast jej wykręty:

-- Wujek może coś zaintonować, jeśli go pan namówi.

Sędzia Pommeroy przyglądał się wężom, odkaszlnął i zaczął: -- Auld Lang Syne... -- Inni przyłączyli się do śpiewu, lecz jeszcze przed końcem pieśni dobiegł z mostu głuchy turkot i wszystkich rozszedł. Podbiegli do okien, by zobaczyć, jak pogrzebowy kocz sędziego wtacza się na wzgórze; z bocznych latarni paliła się tylko jedna. Pani Forrester posłała Toma z kieliszkiem dla woźnicy. Gdy sędzia z siostrzeńcem kładli płaszcze w hallu, podeszła do nich i przymilnie szepnęła chłopcu: -- Pamiętaj, przychodzisz jutro o drugiej, dobrze? Planuję przejażdżkę i chcę, żebyś przez ten czas zabawił Konstancję...

Niel przygryzł wargę i zerknął w dół -- napotkał roześmiane i błagalne oczy pani Forrester. -- Zrobię to dla pani, ale tylko dla pani -- odparł z pogroźką w głosie.

-- Rozumiem, tylko dla mnie! Zapiszę to na twoje dobro.

Sędzia odjechał z siostrzeńcem kołysząc się na sprężynach. Ogdenowie udali się do swych pokoi na piętrze. Pani Forrester poszła do męża -- wymagał pomocy przy zdjęciu i odwieszeniu fraka. Od czasu wypadku trzeba było układać go wysoko na poduszkach przed snem, a sypiał na wąskim żelaznym łóżku w alkowie, która stanowiła niegdyś ubieralnię jego żony. Rozpinając się sapał ciężko i wzdychał, jak człowiek zmęczony. Miał trudności ze spinkami u mankietów, ogrzewał oddechem palce i ponawiał próby. Żona przyszła mu z pomocą i szybko wszystko porzynała. Nie dziękował

jej słowami, tylko poddawał się z uległą wdzięcznością.

Gdy żelazne łóżko skrzyknęło przyjmując ciężkie ciało kapitana, pani Forrester zawołała- do męża z głębi pokoju: -- Dobranoc panu! -- r i zaciągnęła grubą storę, dzielącą alkową od sypialni. Zdjęła kolczyki i pierścionki i zaczęła rozpinąć stanik czarnej aksamitnej sukni, gdy nagle dobiegł ją cichy brzęk szkła z głębi domu. Zapięła z powrotem ramiączko sukni i zeszła i do jadalnego pokoju, którego mrok rozświetlał j teraz odbłask ognia z małego saloniku. Frank Ellinger stał przy kredensie nalewając sobie ostatni przed nocą kieliszek. Francuski koniak, kapitana był stary i mocny jak kordiał.

-- Bądź ostrożny -- szepnęła podchodząc bliżej. -- Głowę bym dała, że ktoś jest na schodach. Widziałam szeroką szparę w drzwiach. Ach, jakież ostre pazurki mają młode kotki w dzisiejszych czasach. Nalej mi odrobinę. Dziękuję. Wypiję przy kominku^

Poszedł za nią do przyległego pokoju -- stanęła przy palenisku i w świetle bladoniebieskich płomieni pełgających na węglu, dołożonym dla podtrzymania ognia, przyjrzała się zarumienionej, władczej twarzy Ellingera.

-- Dużo wypiełeś, Franku -- powiedziała.

-- Nie za dużo. Tyle, ile mi trzeba... dzisiejszej nocy -- odparł znacząco.

Nerwowym ruchem poprawiła luźny kosmyk włosów. -- Nie, nie w nocy. Rano. Idź, połóż się i śpij, jak długo zechcesz. Uwważaj! Słyszałam stapania w jedwabnych pończoszkach na schodach. Dobranoc. -- Położyła dłoń na jego rękawie; białe palce przyłgnęły do czarnego sukna jak kawałki papieru do magnetyzującego żelaza. Dotknięcie, jakkolwiek delikatne, przeniknęło męczyzną dreszczem od stóp do głowy. Szerokie ramiona uniosły się z głębokim westchnieniem.

Spuściła oczy. -- Dobranoc -- rzekła słabym głosem. Odwróciła się od niego z taką szybkością, że powłóczysty tren aksamitnej sukni otarł się o kant jego spodni -- materiał zatrzeszczał i poszły iskry. Oboje drgnęli, zaskoczeni. Popatrzyli na siebie bez słowa, potem ona wysunęła się przez drzwi. Ellinger pozostał przy ogniu skrzyżowawszy ciasno ramiona na piersi i z zaciśniętymi ustami, ze zmarszczoną brwią patrzył w ogień.

Rozdział 5

Następnego dnia Niel znalazł się na wzgórzu, gdy sanki zaprzężone w dwa czarne kuce właśnie zadzwoniły na podjeździe i stanęły przed domem. Pani Forrester wyszła na ganek ubrana do sanny, za nią Ellinger, zapięty po szyję w długim płaszczu podbitym futrem, okazał szamerowanym i z lśniącym, karakułowym kołnierzem. Czuło się w nim jeszcze więcej siły i energii niż poprzedniego wieczoru. Rumiana, dobrze osłonięta twarz jaśniała zadowoleniem z samego siebie i ze świata.

--- Jedziemy do Sweet Water naciąć gałęzi! cedrowych na Gwiazdkę -- zawołała pani Forrester rozradowana. -- Czy dotrzymasz słowa rzystwa Konstancji? Jest trochę zawiedziona[^] że ją zostawiamy, ale nie możemy wziąć dużych 1 sań, bo dyszel złamany. Bądź dla niej dobry, J jesteś grzecznym chłopcem!

Uścisnęła mu rękę, obdarzyła poufałym, znaczącym uśmiechem i wsiadła do sanek. Ellinger jednym skokiem zajął miejsce obok niej i pomknęli w dół wśród wesołego dzwonienia dzwo-J neczków.

Niel zastał Konstancję w małym saloniku układającą pasjansa przy kominku. Była wyraźnie bez humoru.

-- Niech pan wejdzie. Uważam, że mogli nas wziąć ze sobą, prawda? Też bym chciała zoba-£ czyć rzekę na własne oczy. Nienawidzę siedzenia w domu.

-- Wobec tego wyjdźmy. Może chce pani zobaczyć miasto?

Konstancja udała, że go nie słyszy. Marszczyła brwi i kręciła nosem, kąci jej ust drżały.

-- Kto nam zabroni wynająć sanki w wozowni pocztowej i pojechać do Sweet Water, nad rzekę? Przecież rzeka nie jest własnością prywatną. -- Z nerwowym, gniewnym śmiechem odwróciła się wyczekująco do Niela.

-- O tej porze nic nie dostaniemy. Wszystkie zaprzęgi są w ruchu...

Konstancja spojrzała na niego podejrzliwie, potem siadła przy stoliku do kart i pochyliła się nad nim stuliwszy ramiona. Jej puszyste jasne włosy owinięte były dokoła głowy jak zawój i przytrzymane w kilku miejscach wąską, czarną aksamitką.

Kuce przebyły drugi strumień i biegły truchtem w dół, do rzeki. Pani Forrester dała upust swym uczuciom śmiejąc się złośliwie:

-- Ciekawam, czy polecą za nami? Skąd jej przyszło do głowy, że też musi jechać? Cóż za ulga uciec od nich wszystkich! -- Zadarła głowę i wciągnęła nosem powietrze. Dzień był bez słońca, szary i cichy, w suchym powietrzu czuło się łagodny chłód.

-- Biedny pan Ogden -- ciągnęła -- o ileż bardziej jest ożywiony bez swych pań. One go zupełnie gaszą.'- Czy nie cieszysz się, żeś się nie ożenił?

-- Na pewno się cieszę, że nie ożeniłem się z domową kurą. Po co właściwie ludzie to robią? Ona była bez grosza, on zawsze miał pieniądze albo był w drodze do nich...

-- Wyjeżdżają jutro. A ta Connie! Doprowadziła ją do stanu zupełnego ogłupienia, doprawdy! Cóż za popołudnie czeka biednego Niela! -- Roześmiała się, jakby zadowolona na myśl o jego niemiłej sytuacji.

-- Kim właściwie jest ten smarkacz? -- Ellinger poprosił ją o potrzymanie lejców przez chwilę i wyciągnął z kieszeni cygaro. -- Trochę sztywny. Czy masz z niego pożytek?

-- Och, to miły chłopiec, zagubiony tutaj jalt my wszyscy. Zamierzam go urobić, żeby był naprawdę przydatny. Bardzo jest oddany panu Forrester. Przystojny, nie uważasz?

-- Tak sobie.

Skręcili na boczną drogę, wijącą się wzdłuż- rzeki. Ellinger ściągnął lekko lejce i rozchylił wysoki karakułowy kołnierz płaszcza.

-- Niechże się tobie przyjrzę, Marianno... Pani Torrester chroniła mufką twarz od śnieżnych grudek, wzbijanych końskimi kopytami. Zerknęła spoza mufki na Ellingera.

-- No i co? -- spytała zalotnie.

Wsunął ramię pod jej rękę i rozsiadł się wygodnie w saniach.

--Należy mi się inne spojrzenie. Piekielnie długo ciebie nie widziałem...

--Może za długo -- szepnęła. Drwiące iskierki w jej oczach wyraźnie łagodniały, w mia? rękę gdy przyciskał jej ramię. -- Tak -- przyznała lekkim tonem -- za długo.

--Nie odpisałaś na list, który wysłałem do ciebie jedenastego.

--Naprawdę nie? W każdym razie odpowiedziałam na depeszę.

Odwróciła głowę, gdy pochylił ku niej twarz. -- Uważaj na konie, mój drogi, bo wysypią nas z sanek.

--Nie dbam o to. Nawet chciałbym tego -r odparł przez zaciśnięte zęby. -- Dlaczego nu nie odpisałaś?

-- Och, już nie pamiętam! Niewiele do mnie piszesz.

-- Bo to żadna przyjemność. Nie pozwalasz mi pisać listów miłosnych, mówisz, że to niebezpieczne.

-- Bo jest niebezpieczne i głupie. Ale teraz nie musisz być tak ostrożny. Nie za ostrożny -- roześmiała się cicho. -- Kiedy siedzę na wsi przez całą zimę i starzeję się w samotności, lubię... -- położyła dłoń na jego dłoni -- żeby mi przypomniano o przyjemniejszych rzeczach.

Ellinger ściągnął rękawicę zębami. Obiegł strome pagórki i wijącą się drogę spojrzeniem, w którym było coś z wilka.

-- Uważaj, Frank! Moje pierścionki! To boli.

-- Dlaczego ich nie zdejmiesz? Zawsze zdejmujesz. Czy to są te twoje cedry? Staniemy tutaj?

-- Nie, nie tutaj. -- Mówiła bardzo cicho. -- Najlepsze są dalej, w wąwozie, który ciągnie się w głąb góry...

Ellinger widział tył jej głowy i uśmiechnął się kącikami ust. Ton jej głosu uległ zmianie, znał to. Popędzili naprzód gładko biorąc ostre zakręty, nie mówiąc ani słowa. Pani Forrester siedziała wychylona do przodu, z twarzą na wpół ukrytą w mufce. Wreszcie kazała mu stanąć. Na prawo od drogi ujrzał gęste zarośla, za nimi wyschłe łożysko strumienia wiło się wśród skał. Wierzchołki ciemnych, nieruchomych cedrów wskazywały zakręty.

-- Siedź cicho -- powiedział -- wyprzęgnę konie.

Kiedy błękitne cienie nadchodzącego zmięzchu zaczęły opadać na śnieg, jeden z chłopcótyj Bluma skradając się cicho wzdłuż ściętych pni w poszukiwaniu królików natknął się na puste sanki w krzakach i dwa kuce opodal, które niecierpliwie stąpały w miejscu, uwiązane do drzewa. Adolf cofnął się w gąszcz i przyczał za powalonym pniem, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Nigdy dotąd nie przydarzyło mu się nic prócz zmiany pogody.

Wkrótce usłyszał ciche głosy zbliżające się od strony wąwozu. Wysoki, obcy pan, który; przyjeżdżał do Forresterów, wynurzył się z gąszczu niosąc na ramieniu fartuch z bawolej; skóry; do drugiego ramienia przyłgnęła pani Forrester. Szli wolno, całkowicie zatopieni w rozmowie. Gdy podeszli do sanek, mężczyzna rozpostarł na siedzeniu bawołą skórę i wsunął ręce pod ramiona pani Forrester, żeby nieść. Ale nie podniósł; stał przez długą chwilę przyciskając mocno kobietę do piersi, ona zaś ukryła twarz w połach jego czarnego płaszcza.};

-- A co będzie z tym przeklętym cedrem? -- zapytał, gdy już posadził ją w saniach i otulił skórą -- Czy mam wrócić i naciąć trochę gałęzi?

-- To nieważne -- wyszeptała.

Sięgnął pod siedzenie po siekierkę i zawrócił do wąwozu. Pani Forrester siedziała z zamkniętymi oczami, z nieuchwytnym uśmiechem na twarzy, przytuliwszy policzek do mufki. Powietrze było nieruchome i niebieskie: mały Blum niemal słyszał jej oddech. Gdy z wąwozu dobiegł odgłos siekierki, ujrzał, że zatrzepotała powiekami... delikatny dreszcz przebiegł jej ciało.

Mężczyzna powrócił i cisnął zielone gałęzie do sań. Usiadł koło niej. Wtedy wsunęła mu rękę pod ramię i lekko przytuliła się do niego.

Jedź powoli -- szepnęła jak we śnie. -- Nieważne, że spóźnimy się na kolację. Wszystko nieważne. -- Kuce ruszyły klusem.

Poblady chłopiec opuścił swą kryjówkę i poszedł śladem stóp w głąb wąwozu. Pomarańczowy księżyc wypłynął zza skał i zastał go siedzącego pod cedrami ze strzelbą na kolanach. Gdy pani Forrester czekała w sankach przymknawszy oczy w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa, chłopiec był tak blisko, że mógł być dotknąć jej ręką. Nigdy jeszcze nie widział takiej pani Forrester -- nie odgradzonej od świata kpiącym spojrzeniem czy żywym gestem. A co by było, gdyby za tym pniem leżał Tadek Grimes albo na przykład Ivy Peters?

Lecz Adolf Blum nigdy nie wyda jej tajemnicy. Miał mentalność feudalną: ludzie bogaci i szczęśliwi posiadali również prawo do przywilejów. Byli namiętni i porywczy, korzystali z życia dając upust chęciom, z których istnienia ledwie mógł zdawać sobie sprawę taki chłopiec jak on, wiecznie przemoknięty, smagany wiatrem przez cały rok; brodząc po błocie łowił

ryby dla kota albo przyczajony na mokradłach czekał na dzikie kaczki. Pani Forrester zawsze miała dla niego uśmiech, gdy zjawiał się u kuchennych drzwi ze swą rybą. Nigdy nie targowała się płacąc. Traktowała go jak człowieka. Tych parę słów, które z nim zamieniła, jej skinienie głową, jej uśmiech, gdy mijała go na ulicy, należały do rzeczy, które najmiej wspominał. Kupowała od niego zwierzynę poza sezonem i nigdy go nie wydała.

Rozdział 6

Dopiero w ciągu zimy -- pierwszej, jaką pani Forrester spędziła w swym domu na wzgórzu, Niel poznał ją bliżej. Dla Forresterów zima ta była niby przejście z jednego stanu w drugi; wkrótce potem przyszła odmiana losu. W życiu Niela był to naturalny okres przemiany, ponieważ w jesieni miał dziewiętnaście lat, a na wiosnę skończył już dwadzieścia -- bardzo duża różnica.

Po świętach Bożego Narodzenia partyjki wista weszły w stały zwyczaj. Trzy razy w tygodniu sędzia Pomrneroy wraz z siostrzeńcem zasiadali do kart u Forresterów. Niekiedy przychodzili wcześniej, na obiad, niekiedy zostawali, by po ostatnim robrze zjeść późną kolację. Niel, który tak się rozkoszował życiem kawalera i w myśli poprzysiął nawet nie mieszkać nigdy tam, gdzie rządzą kobiety, musiał stwierdzić, iż powoli przywyka do wygod dobrze prowadzonego domu; do rozkoszy stołu, do miękkich, wyściełanych krzeseł i przyćmionych świateł i przyjemnych ludzkich głosów u państwa Forresterów. Siedząc wieczorami w ulubionym niebieskim fotelu przy ogniu, gdy za oknem szalał przenikliwy, zimny wiatr, często zastanawiał się, czy znajdzie siły, by wyrwać się stąd, zanurzyć w ciemność i przebyć zamarznąłą dłużącą się drogę i martwe, puste ulice miasta. Kapitan Forrester owej zimy rozpoczął eksperymenty z hodowlą kwiatów cebulkowych; postawił szklarnię na południowej ścianie domu, za bocznym salonikiem. W ciągu stycznia i lutego dom pełen był narcyzów i rzymskich hiacyntów i gdy siedziało się w tym pokoju przy kominku, odurzający wiosenny zapach kwiatów stanowił część jakże kuszącego komfortu.

Zdaniem Niela nie było mowy o nudzie w obecności pani Forrester. Urok jej rozmowy polegał nie tyle na tym, co mówiła, choć często potrafiła być dowcipna, lecz na bystrym spojrzeniu, na żywości jej głosu. Można było rozmawiać z nią o najzwyczajniejszych rzeczach i wynieść z tej rozmowy wrażenie radości i podniecenia. Prawdopodobnie -- przypuszczał Niel -- sekret leżał w tym, że była zawsze zainteresowana ludźmi, nawet bardzo pospolitymi ludźmi. W braku pana Ogdena czy pana Dalzella, którzy prześcigali się w opowiadaniu historyjek, bawiły ją prostackie maniery Ivy Petersa albo głupie komplementy starego Elliota,

u którego kupowała zimowe buciki. Posiadał* urzekający talent naśladowania ludzi. Gdy wspomniała grubego lodziarza albo Tadzia Gri* mesa dzielącego toporkiem mięso w sklepie, albo chłopców Bluma z upolowanym królikiem, to subtelnym naśladowaniem ich sposobu bycia potrafiła uczynić z nich postacie ciekawsze i żywsze, niż byli w rzeczywistości. Niejedną osobę naśladowała w jej obecności -- nikt nigdy nie czuł się urażony. Jej śmiech sprawiał wszystkim najżywszą przyjemność. Każdy czuł wów* czas, że jest z nią blisko. Gdy się komu zdarzyło powiedzieć coś ciekawego, śmiechem wyrażała ocenę, zgodę i uznanie, śmiech jej często mówił to, co dla słów było jednocześnie zbyt *śmiałe i zbyt nieuchwytnie.

Dużo, dużo później, kiedy Niel nie wiedzi\$ czy pani Forrester jeszcze żyje, czy umarła, jeśli zjawiała się w jego pamięci, to jako błysk ciemnych oczu, trójkąt białych policzków w ramie; wiszących kolczyków i ten wielobarwny śmieć. Kiedy czuł się oziębiały na wszystko i wszystkim zmęczony, nawiedzała go myśl, że gdyby mógł usłyszeć śmiech pani Forrester -- dawno utra* conej pani -- to byłoby mu od razu weselej na duszy.

Prawdziwa śnieżycy przyszła późno tej zimy; ogarnęła Sweet Water pierwszego dnia marca i szalała nad miastem przez trzy dni i trzy noce. Spadło trzydzieści cali śniegu, a przenikliwy wiatr zmieniał zasy w tumany zawiei. Dom Forresterów zasypało. Ben Keezer, człowiek do wszystkiego, nawet nie próbował przetrzeć drogi ani zejść samotnie do miasta. Trzeciego dnia Niel udał się na pocztę i ze skórzanym workiem kapitana pełnym listów przebrnął rzekę, zapadając się w śniegu po pas, a nawet po ramiona. Płoty przy drodze zniknęły pod śniegiem, lecz nie zbłądził kierując się dwoma rzędami topoli. Gdy wreszcie stanął na ganku, kapitan Forrester otworzył mu drzwi i poprosił do środka.

-- Cieszę się, że cię widzę, mój chłopcze, bardzo się cieszę. Trochę nam tu było smutno. Musiałeś się natrudzić niemało, by do nas dotrzeć. Wejź do salonu i wysusz się przy ogniu. Musimy rozmawiać cicho. Pani Forrester jest na górze, położyła się; narzeka na ból głowy.

Niel stanął przed kominkiem w gumowych butach, by wysuszyć spodnie. Kapitan omijając fotel otworzył drzwi do swej małej szklarni.

-- Chcę ci pokazać coś ładnego, Niel. Wszystkie moje hiacynty rozwijają się równocześnie, wszystkie kolory tęczy! Rzymskie hiacynty to z całą pewnością kwiaty pani Forrester. Pasują do niej.

Niel podszedł do drzwi i z prawdziwą przyjemnością spojrział na świeże, wilgotne kwiaty.

-- Bałem się, że może pan je stracić przy takiej pogodzie.

-- Nie straciłem. Są dość odporne na zimno. Dotrzymywały nam towarzystwa. --

Przeniósł wzrok przez szklaną ścianę na zamazany kontur

krzewów w ogrodzie. Chłopcu sprawiał radość widok kapitana dogłębnie oglądającego swej posiadłości; w jego spojrzeniu czytało się w takim momencie: mój dom to moja twierdza.

-- Ben doniósł mi, że dzikie króliki zakradły się na siano do szopy; wszystko, co zielone, przykrył śnieg. Kazałem, by rzucił trochę kapusty, niech zwierzęta nie giną z głodu. Pani Forrester co dzień wychodzi na ganek karmić ptaki -- mówił dalej jakby do siebie.

Drzwi na górze skrzypnęły i pani Forrester zeszła do nich w japońskim szlafroku, bardzo błada. Ciemne kręgi pod oczami świadczyły, że źle sypia.

-- O, jest Niel! Jak to miło, żeś przyszedł i przyniosłeś pocztę, widzę. Czy są jakieś listy do mnie?

-- Trzy. Dwa z Denver i jeden z Kalifornii -- i kapitan podał je żonie. -- Czy spała trochę, dziecińco?

-- Nie, ale odpoczęłam. Rozkosznie jest na górze, w tym pokoju od zachodu, wiatr zawodzi, śpiewa i gwizdże w rynnach. Jeśli mi pozwolicie, to pójdę na górę ubrać się i przejrzeć pocztę. Stań bliżej ognia, Niel. Czy bardzo przemokłeś?

Gdy podeszła, by dotknąć jego ubrania, po* czuł silny zapach alkoholu. Czyżby była chorti zastanowił się, czy po prostu tak znudzona, to próbowała się odurzyć?

Wróciła do nich starannie ubrana, z P¹ czesanymi włosami.

-- Gdybyś nam pani dała herbaty -- powiedział kapitan tonem pełnym względów -- to bym się chętnie napił i zjadł grzankę wzorem twych angielskich przyjaciół, a dobrze to robi również na ból głowy. Niel nie dostanie od nas nic więcej.

| -- Doskonale. Mary położyła się, zęby ją bołą, sama zrobię herbatę. Niel przygotowuje grzanki na ogniu, a pan przeczyta tymczasem swoją gazetę.

Była teraz pogodna -- przepasała Niela fartuszkami kucharki i posadziła przy kominku z dużym widelcem. Zauważył, że kapitan czytając gazetę zerkał czujnie na kredens, a gdy żona wniosła herbatę, zdawał się szczerze uradowany, że na tacy nie było karafki z sherry. Wypił trzy filiżanki i wziął dwie grzanki.

-- Widzi pan -- rzekła do męża lekkim tonem -- Niel przywrócił mi apetyt. Nie jadłam dziś nic w południe -- zwróciła się do chłopca -- zbyt dużo pozostaje w zamknięciu. Czy jest coś ciekawego w gazecie?

Znaczyło to, że pyta o sprawy osób znajomych. Kapitan nałożył szkła w srebrnej oprawie i głośno odczytał wiadomości o ludziach, których znali w Denver i Omaha, i Kansas City. Pani Forrester siedząc na stołeczku przy ogniu jadła grzanki i rpiła zabawne uwagi na temat bohaterów kroniki towarzyskiej: „... panna Er- ma Salton-Smith zaręczyła się” itp. -- redagowanej w tonie podniosłym. -- Nareszcie, dzięki Bogu! Pamiętasz ją,

Niel? Była tutaj. Zdaje mi się, żeś z nią tańczył.

-- Chyba nie. Jak wygląda?

-- Jest dokładnie taka jak jej nazwisko. Nie pamiętasz? Wysoka, bardzo żywa, oczy błyszczące szaleństwem.

Niel roześmiał się. -- Czy pani nie lubi błyszczących oczu?

-- Nie u innych, z całą pewnością. -- Roześmiała się wraz z nim tak wesoło, że Kapitan spojrzał sponad gazety z wyrazem wielkiego zadowolenia. Powolnym ruchem opuścił pismo na kolana i siedział przyglądając się tej parze przy kominku. W jego oczach byli niemal rówieśnikami. Przyzwyczał się myśleć o żonie jako bardzo, bardzo młodej osobie.

Spostrzegła, że przestał czytać.

-- Czy zapalić lampę? -- spytała.

-- Nie, dziękuję, ten półmrok jest bardzo przyjemny.

Zmierzch już zapadał. Usłyszeli Mary schodzącą na dół, a potem krzątanie w kuchni. Od fotela kapitana, jego domowych pantofli widocznych w blasku ognia i potężnych ramion, które tonęły w cieniu, dochodziło od czasu do czasu pochrapywanie. W miarę jak pokój wypełniał zmierzch, okna zamieniały się w kwadraty bladego, czystego fioletu. Okiennice przestały klekotać, wiatr umierał razem z dniem. Wszystko zatoneło w ciszy, przerywanej z rzadka brzękiem patelni. Pani Forrester wyjaśniła szeptem, że Mary jest nie w humorze, ponieważ waż zawiódł ją ukochany, Joe Pucelik. Przychodził zawsze w niedzielę, ale w niedzielę rozpiętała się śnieżyca. -- Kiedy czuje się zaniedbana, zaraz bolą ją zęby.

-- Ale jeśli ja dostałem się tutaj, to i on musi przyjść. W przeciwnym razie Mary będzie wściekła.

-- Och, przyjdzie na pewno -- pani Forrester wzruszyła ramionami. -- Zamykam oczy i uszy na wszystko, ale jestem zupełnie spokojna, że przychodzi tu nie na darmo. -- Po chwili wstała. -- Chodźmy, pan Forrester zacisnął. Pobiegniemy na dół. Włożę tylko moje boty. Żadnego sprzeciwu! -- Położyła mu dłoń na ustach. -- Ani słowa! Nie wytrzymam w tym domu ani chwili dłużej.

Wymknęli się po cichu przez frontowe drzwi; zimne powietrze miało smak świeżo spadłego śniegu. Niebo na zachodzie, nad miasteczkiem tonącym w zaspach, barwił łuk błękitny i różowy. Gdy znaleźli się na gołym, omiecionym ze śniegu skłonie wzgórza, pani Forrester przystanąła, głęboko wciągnęła powietrze i spojrzała w dół na zaśnieżone łąki i zeszywniałe, siniejące w dali topole.

-- Och, jakież to ponure! -- szepnęła. -- A jeżeli trzeba będzie pozostać tu całą przyszlą zimę... i jeszcze jedną? Co się ze mną stanie, Niel? -- W głosie jej był lęk, nie budzące wątpliwości przerażenie. -- Nie mam nic do roboty, rozumiesz? Nie zażywam ruchu. Nie ślizgam się. W Kalifornii nie ma ślizgawek i nogi mam

słabe w kostkach. Zawsze w zimie tańczyłam w Colorado Springs dużo się tańczy. Nie wyobrażasz sobie, jak mi tego brak. Będę tańczyć do późnej starości, do osiemdziesiątki... Będą tańczącą babcią! Taniec dobrze mi robi, jest mi potrzebny.

Zanurzyli się w śnieżne zasy i przystanęli dopiero przy drewnianym moście.

-- Spójrz, nawet rzeczka zamarzła. Jak długo to potrwa?

■-- Już niedługo. Za miesiąc mokradła pozielenieją, a wkrótce potem i łąki. Na wiosnę jest tu prześlicznie. A jutro może pani wyjść na spacer. Niebo się rozpogadza. Proszę spojrzeć, nów księżyc!

Odwróciła się. -- Ojej! Spojrzałam nie przez to ramię!

--- Nic podobnego. Spojrzała pani przez moje ramię.

Z westchnieniem wzięła go pod rękę. -- Twoje ramiona, mój drogi chłopcze, nie są dostatecznie szerokie.

Natychmiast stanęły mu przed oczami ramiona o wiele szersze, niepożądanie szerokie, okryte szamerowanym płaszczem z karakułowym kołnierzem. Dokuczala mu natrętna obecność tej trzeciej osoby, gdy powolnym krokiem wracali na wzgórze.

Dziwna rzecz, ale pani Forrester interesowała Niela przede wszystkim jako żona kapitana i bardziej podziwiał w niej stosunek do męża. Ogromny wdzięk i urok kobiecości łączył się

I w niej ze zrozumieniem i lojalnością dla kogoś I takiego jak budowniczy dróg. Wyczuwał w tym I coś, co nazywają klasą, co nigdy się nie zu- I żyje, nie traci blasku: stał damasceńska. I Uwielbienie jego dla pani Forrester na tym się I też opierało, podobnie jak ona sama -- czuł to I wyraźnie -- w uczuciach dla męża znajdowała I stałe oparcie. Z pewną przyjemnością słuchał I opowiadań -- nawet dość gorszących -- o jej

II zabawach w Colorado, o zastępach młodych ludzi, których wodziła za nos każdej zimy. I Myślał niekiedy, jakie też życie mogła prowa- I dzić, odkąd ją znał -- a jakie sobie wybrała! I Uważał, że niewspółmierność tkwiących w niej I możliwości stanowiła najsubtelniejszy element I jej czaru. Bezwstydnie wykpiwała zasady I i przykazania, według których żyła, urok I sprzeczności był jej wrodzony.

Rozdział 7

Gdy u Forresterów nie było wista, Niel spę- I dzał wieczory najczęściej u siebie czytając --- i to wcale nie dzieła prawnicze, jak by można | było sądzić. Poprzedniej zimy, kiedy Forresterowie byli daleko i dzień włókł się za dniem, Niel odkrył niewyczerpane nieomal źródło rozrywki. Wąska, wysoka półka z książkami stojąca w kantorku między szerokimi drzwiami gabinetu i ścianą wypełniona była od szczytu po podłogę rzędami oprawionych w ciemne płó

no okazałych tomów, które wydzielono z księgi, zbioru prawniczego: niemal pełny komplet klasyków, kupiony przez sędziego Pommeroya, gdy był jeszcze studentem na uniwersytecie w Wirginii. Zabrał je ze sobą na Zachód, nie żeby się w nich rozczytywał, lecz ponieważ w jego czasach dżentelmen miał takie książki w bibliotece, podobnie jak wino w piwnicy. Wśród książek był komplet dzieł Byrona w trzech tomach i poprzedniej zimy, w związku z pewną nieznaną cytata sędziego doradził chłopcu przeczytać Byrona -- wszystko z wyjątkiem Don Juana, którego--- zauważył ze znaczącym uśmiechem -- „może sobie zachować na później”. Nie, rzecz jasna, zaczął od Don Juana. Następnie przeczytał Toma Jonesa i Wilhelma Meistra i w krótkim czasie doszedł do Montaigne'a i pełnego przekładu Owidiusza. Nigdy zresztą nie przestał czytać tych dwóch ostatnich -- po innych doświadczeniach zawsze do nich wracał. Uważał, że ci dwaj naprawdę umieją pisać. Nawet w Don Juanie było trochę „nabierania gości”, lecz u tych panów -- nigdy!

Były również dzieła filozoficzne w tym zbiorze, lecz przerzucał je tylko pobieżnie. Nie zajmowało go, co ludzie myśleli, natomiast ogromnie był ciekaw, jak czuli i jak żyli. Gdyby ktoś przedtem powiedział, że to klasycy i że reprezentują mądrość stuleci, niewątpliwie stawiliby ich w spokoju. Lecz tak się zdało

że odkrył ich na własną rękę i od tej chwili żył podwójnym życiem, pełnym zakazanych rozkoszy. Heroidy * przeczytał kilkakrotnie od początku do końca z przekonaniem, że czyta prawdziwe historie wielkiej miłości. Nie uważał dzieł klasyków za coś, co wymyślono dla zabijania czasu -- były dla niego jak żywe stworzenia i wbrew złudnej powadze formy i frazy jakby wiecznie zaskoczone, schwytane na gorącym uczynku życia. Podśluchiwał, podglądał przeszłość dopuszczony do wielkiego świata, który w blasku i w grzechu chylił się ku upadkowi już w czas, gdy małe miasteczka Zachodu nikomu się nawet nie śniły. Urzekające wieczory spędzane przy lampie dawały chłopcu perspektywę, wywierały wpływ na jego opinie o bliskich ludziach, pozwalały uświadomić sobie, jak chciałby ułożyć stosunki z otoczeniem. Z jakiegoś powodu lektura budziła w nim pragnienie zostania architektem. Gdyby sędzia pozostawił swój księgozbiór w Kentucky, życie jego siostrzeńca mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

Nadeszła wreszcie wiosna i dom Forresterów był piękny jak nigdy. Kapitan spędzał długie, błogie dni wśród kwitnących krzewów, a jego żona mawiała do gości: -- Tak, może pan wi-

■MMMMM

dzieć się z panem Forresterem, lecz za chwilę; muszę posłać ogrodnika, by dał mu znać.

Na początku czerwca, gdy róże kapitana zaczęły rozkwitać, zajęcia dostarczające mu tyle przyjemności zostały nieoczekiwanie przerwane. Pewnego ranka otrzymał niepokojącą depezę. Rozciął ją sekatorem, wszedł do domu i poprosił żonę, by zatelefonowała do sędziego Pommeroya. Bank oszczędnościowym Denver, w którym kapitan był poważnie zaangażowany, zbankrutował. Wieczorem pan Forrester ze swym radcą prawnym pojechali pociągiem pospiesznym na zachód. Sędziemu udzielając Nielowi ostatnich poleceń wyznaj iż obawia się, że kapitan stracił dużo pieniędzy

Pani Forrester zdawała się nic nie wiedzieć

o niebezpieczeństwie; odprowadziła męża na stację i wyraziła się, że „pojechał w interesach”. Niel jednakże miał niedobre przeczucia. Bał się, że grozi jej nędza. Należała do ludzi, którzy zawsze powinni mieć pieniądze; jakiegokolwiek ograniczenie dostatku byłoby dla niej ciężkie do zniesienia; byłoby po prostu niestosowne. W niedostatku przestanie być sobą.

Niel jadał w miejskim hotelu; trzeciego dnia po odjeździe kapitana z przykrością trafił na nazwisko Franka Ellingera na liście gości hotelowych. Ellinger nie zjawił się na kolacji, co znaczyło, rzecz jasna, że jest u pani Forrester

1 że sama pani domu podaje mu do stołu. Korzystając z nieobecności kapitana pozwoliła Mary wyjechać na tydzień do matki, mieszkającej na farmie. Niel uważał, że przyjeżdżać do Sweet Water pod nieobecność kapitana to dowód bardzo złego smaku ze strony Ellingera. Musiał zdawać sobie sprawę, że da powód plotkom.

Niel zamierzał odwiedzić panią Forrester wieczorem, lecz w tej sytuacji powrócił do biura. Czytał do późna, a gdy położył się do łóżka, zasnął bez trudu. Zbudziło go przed świtem sapanie lokomotywy w zajezdni. Próbował zatkać uszy prześcieradłem i zasnąć na powrót, lecz świst uciekającej pary dziwnie go jakoś rozbudził. Nie mógł pozbyć się myśli, że jest lato i że niebawem wspaniała zorza zapłonie nad łąkami Forresterów. Ocknął się z ową intensywną, rozkoszną świadomością lata, jaką miewają niekiedy dzieci leżąc w łóżku. Wstał i u- brał się szybko. Pójdzie na wzgórze, zanim Frank Ellinger zdąży narzucić swą obecność -- pójdzie, póki ten intruz śpi w najlepszym pokoju hotelu „Wimbledon”.

Gnany porywem przywiązania i uczuć opiekuńczych, Niel wspinał się o brzasku drogą wysadzaną topolami -- nie zbliżył się jednak do domu, tylko za drugim mostem skręcił na łąki i ku bagnetom. Na niebie płonął różowosrebrzysty, bezchmurny letni świt. Zwisłe ciężko trawy były chłopca po kolanach. Kwitnący na mokradłach wilczomlecz białobrzegi lśnił w kroplach, rosy jak chłodne płyty srebra obok malinowych kęp bagiennej trojeści. Rześkie powietrze, łagodne niebo, błyszczące krople rosy

na trawach i kwiatach tchnęły jakąś niemal religijną czystością. Wszystko na ziemi miało w sobie tę samą miękkość i radość co wilgotny, poranny śpiew ptaków w nieskalanych przestworzach. Od wschodu barwionego szafranem lał się jak cienkie wino blask słońca wyzłacając wonne łąki i lśniące czuby drzew w lesie. Niel dziwił się sam sobie, że nie przychodzi tu częściej, by zobaczyć wstający dzień, nim zespecą go ludzie swą krzątaniną, zobaczyć nieskalany dar poranka, dziedzictwo bohaterkich wieków.

Pod skałami górującymi nad mokradłeni, natknął się na gąszcz dzikich róż o ledwie rozchylonych pączkach. Tam, gdzie rozwinęły się już w pełny kwiat, różane płatki miały odcień płonącego szkarłatu, który w południe już znika -- odcień wzięty od rannej zorzy i wilgoci, tak intensywny, że jak ekstaza długo trwać nie może... Niel wyjął nóż i zaczął ścinać twarde gałązki okryte rudymi kolcami.

Zrobi bukiet dla pewnej pięknej pani, bukiet zebrany z lica poranka... z róż, na wpół zaledwie rozbudzonych, tak niewinnych w swej urodzie. Złoży je pod drzwiami jej sypialni. Gdy otworzy okiennice, by wpuścić światło, znajdzie kwiaty -- i może obudzą w niej uczucie niesmaku dla nieokrzesanych elegantów w rodzaju Franka Ellingera.

Przewiązał bukiet wiechciem trawy, wspiął się na wzgórze przez las, obszedł ostrożnie dom pogrążony w ciszy i zbliżył się do sypialni pani Forrester od północnej strony -- zielone okiennice na oszklonych drzwiach wychodzących na taras były zamknięte. Gdy schylał się, by złożyć bukiet na progu, dobiegł go z wnętrza cichy kobiecy śmiech: zniecierpliwiony, rozkapryszony, zalotny, namiętny. A potem inny śmiech -- zupełnie inny, śmiech mężczyzny. Był syty i rozleniwiony -- zakończył się czymś w rodzaju ziewnięcia.

Niel ocknął się dopiero na drewnianym moście u stóp wzgórza -- twarz mu płonęła, w skrobach waliło, oczy były pełne gniewu. W ręku wciąż trzymał kłujący bukiet dzikich róż. Rzucił go za żelazne ogrodzenie prosto w błotnistą kałużę rozdeptaną przez bydło na -brzegu rzeczki. Nie miał pojęcia, w jaki sposób znalazł się na dole -- czy zbiegł podjazdem Forresterów, czy przez las. W owej krótkiej chwili pod drzwiami sypialni .pani Forrester -- między schyleniem się i wyprostowaniem -- utracił coś najpiękniejszego w swym życiu. Zanim wyszła rosa, ranek był dla niego stracony. -- I wszystkie następne poranki -- powiedział do siebie z goryczą. Tego dnia skończyło się jego uwielbienie i oddanie -- uczucia, które w jego życiu były jak kwitnące kwiaty. Nigdy już tego nie odzyska. Skończyło się jak poranna świeżość róż.

-- Gnijące lilie -- wyszeptał. -- „Lilie, gdy gniją, woń gorszą wydają od chwastów”.

Wdzięk, żywość, śliczny głos, iskry wesołości i fantazji w tych ciemnych oczach -- wszystko nic nie warte! Pogwałciła nie zasady moral-

ne, lecz pewien ideał estetyczny. Piękne kobiety, których piękność więcej znaczy, niż wyraża... Czy te wspaniałe stworzenia zawsze karmią się czymś pospolitym i zakazanym? Czy na tym polega ich tajemnica?

Rozdział 8

Niel powitał wuja i kapitana Forrestera, gdy wysiedli z porannego pociągu, i wraz z nimi pojechał do domu Forresterów. O sprawie, którą, była przyczyną podróży do Denver, nie wspomniano ani słowem, dopóki wszyscy wraz z panią Forrester nie usiedli w dużym salonie. Okna były otwarte i z ogrodu napływała woń jaśminów i czerwcowych róż. Kapitan Forrester; powoli rozwinął chustkę, otarł czoło i mięsisty kark ponad niskim kołnierzem i przedstawił sprawę.

-- Dziecino -- rzekł nie patrząc na żonę -- wracam do domu jako człowiek biedny. Niemal wszystko, co miałem, poszło na załatwienie sprawy. Pozostała ci ta posiadłość, niczym nie obciążona, moja renta -- i to wszystko. Żywy inwentarz przyniesie niejaki dochód.

Niel spostrzegł, że pani Forrester bardzo silnie pobladła, lecz uśmiechnęła się i przyniosła mężowi podpórkę do cygar.

-- Och, na pewno damy sobie radę, prawda?

-- Na pewno. Nic ponad to. Obawiam się, że sędzia uważa mój postępek za szalony.

-- Bynajmniej, łaskawa pani, bynajmniej! -- wykrzyknął sędzia. -- Na miejscu kapitana postąpiłbym tak samo, mam nadzieję. Lecz nie jestem żonaty. Pewne papiery, pożyczki rządowe, kapitan mógł być przepisać na panią, stałoby się to jednak z krzywdą depozytorów.

-- Znałem ludzi, co tak robili -- rzekł ciężko kapitan -- ale wcale nie uważam, że w ten sposób, wyświadczyli zaszczyt swym żonom. Jeśli pani Forrester jest zadowolona, to nigdy nie będę żałował mojej decyzji, g] Po raz pierwszy -zmęczonymi,- zapuchniętymi oczami poszukał oczilfzony.

-- Nigdy nie poddaję w wątpliwość pańskich decyzji dotyczących interesów. Nie znam się na tych sprawach.

Kapitan odłożył nie zapalone cygaro, dźwignął się z pewnym wysiłkiem i podszedł do szerokiego okna. Stał patrząc na swoje łąki.

-- Jak tu ładnie, dziecino -- rzekł po chwili. -- Widzę, żeś podlała róże. Potrzebowały tego, jest bardzo sucho. Jeśli pozwolicie, to pójdę i położę się na chwilę. Niezbyt dobrze spałem w pociągu. Niel i sędzia zostaną na obiedzie.

Otworzył drzwi do pokoju pani Forrester, i zamknął je za sobą.

Sędzia Pommeroy zaczął wyjaśniać pani Forrester, jaką to sytuację zastali po przyjeź- Iiii do Denver. Bank, o którym pani Forrester wiedziała tylko, jak się nazywa, należał do płacących dobry procent od małych wkładów. Depozytorami byli ludzie żyjący z pensji: urzęd-

I nicy kolejowi, mechanicy i robotnicy płaceni od dniówki; wielu z nich pracowało niegdyś u kapitana i w zarządzie banku znane im było jedynie jego nazwisko -- starym pracownikom kapitana Forrestera i ich przyjaciółom dawało gwarancję godziwego traktowania. Poza nim zasiadali w zarządzie ludzie młodzi, dobrze się zapowiadający, którzy niejedną pieczę piekli przy wspólnym ogniu. Niestety --- stwierdził ! ze smutkiem sędzia -- nie potrafili oni postąpić jak prawdziwi ludzie honoru. Wysuwali argu- ; ment, iż bank nie ogłosił przecież niewypłagi całości wskutek nierozważnych inwestycji czy błędów kierownictwa, tylko z powodu ogólnej paniki w kraju i spadku wartości, czego niktJ nie był w stanie przewidzieć. Twierdzili, iż jest ; rzeczą słuszną dzielić straty wraz z depozyto- rami --dając im pięćdziesiąt centów za dolara, - dwadzieścia pięć centów na długoterminowe spłaty i ugodę oprzeć na spłacie siedemdziesię- ciu pięciu procentów zamiast stu.

Kapitan Forrester twardo obstawał przy tym, by nikt z klientów nie stracił ani grosza. Obiecujący młodzi dyrektorzy słuchali go z szacun- V kiem, lecz oświadczyli, że zawrą porozumienie 7, wyłącznie na własnych warunkach; resztę pieniędzy kapitan może zwracać z własnych funduszków. Posłał do skarbcza po swą prywatną szkatułę, otworzył ją w ich obecności i wysypał zawartość na stół. Papiery państwowe spieniżył od razu. Sędziego Pommeroya poprosił

0 sprzedanie na wolnym rynku akcji kopalni

1 innych papierów wartościowych.

Doszedłszy do tego momentu w swym opowiadaniu sędzia wstał i zaczął przemierzać pokój obracając w palcach wiszące na breloku pieczęcie.

-- I tak właśnie musiał postąpić człowiek honoru, łaskawa pani. Gdy pięciu dyrektorów wycofało się, kapitan mógł tylko stracić dobre imię albo je zachować. Kredytorzy złożyli swoje pieniądze w banku jedynie dlatego, że prezesem był kapitan Forrester. Dla tych ludzi, posiadających za cały kapitał własny kark i dwoje rą[^] imię kapitana oznaczało pewność, bezpieczeństwo. Kapitan próbował wytłumaczyć zarządowi, że chodzi o pieniądze, których wartość jest niewymierna: pieniądze na kupno domu, na leczenie w wypadku choroby, na naukę syna. A ci młodzi ludzie, inteligentni młodzi ludzie, cieszący się dobrą opinią w mieście, siedzieli ze spuszczoneymi oczami i pozwolili pani mężowi ogołocić się ze wszystkiego, nawet z polisy na życie! W ciągu tych wszystkich dni przed bankiem od rana do nocy zbierał się tłum ludzi na ulicy -- śmiertelnie przerażonych Polaków, Szwedów, Meksykańczyków. Wielu z nich nie mówiło po angielsku -- jedyne słowo, jakie znali w tym języku, to „Forrester”. Wchodząc i wychodząc z banku słyszeliśmy Meksykańczyków mówiących „Forrester, Forrester”. Gdy kapitan pozbywał się wszystkiego, cierpiałem ogromnie myśląc o pani. Lecz na honori

Nie mogłem go powstrzymać! Jeśli chodzi o siedzących tam łajdaków tchórzem podszytych... -- tu sędzia stanął przed panią Forrester i obydwoma rękami wzburzył gęste, siwe włosy na głowie. -- Na Boga, miałem uczucie, że za długo żyję na tym świecie. Za moich czasów różnica pomiędzy człowiekiem interesów a łajdakiem była większa niż między białym i Murzynem. Niewłaściwym byłem doradcą dla kapitana w tej sytuacji. Któryś z tych sprytnych młodych członków naszej palestry, do której należeć będzie niebawem Ivy Peters, potrafiłby uratować coś dla pani z tej katastrofy. Lecz ja nie mogłem użyć mego wpływu na pani męża. Dla tego tłumu ludzi pod drzwiami banku imię jego znaczyło sto centów za dolara i, na Boga, dostali tyle! Jestem z niego dumny, łaskawa pani, dumny z tego, że go znam.

Po raz pierwszy w życiu Niel ujrzał, że pani Forrester zarumieniła się. Nagły rumieniec okrył jej twarz, oczy zalśniły wilgocią.

-- Miał pan całkowitą słuszość, sędzio. Za nic na świecie nie chciałabym, żeby postąpił inaczej. Nigdy by nie mógł chodzić z podniesioną głową. Znam tego człowieka, rozumie pan?

Mówiąc to spojrzała na Niela siedzącego w drugim końcu pokoju i w spojrzeniu jej była jakby delikatna i pełna godności przygana -- choć przecież w niczym jej nie uchybił.

Gdy gospodyni wyszła, by dopilnować obiadu, sędzia Pommeroy zwrócił się do siostrzeńca.

<-- Synu, cieszę się, że chcesz zostać architektem. Nie widzę zaszczytnej przyszłości dla prawnika w nadchodzącej epoce nowych interesów. Zostaw prawo dla takich jak Ivy Peters i wejdź do jakiegoś przyzwoitego zawodu. Nie byłem właściwym człowiekiem dla kapitana w tej podróży. -- Potrzęsnał głową ze smutkiem.

-- Czy naprawdę czeka ich bieda?

-- Będzie im bardzo ciężko. Jest tak, jak powiedział: nie mają nic prócz tej posiadłości.

Pani Forrester wróciła z kuchni i poszła zbudzić kapitana. Gdy otworzyła drzwi do swego pokoju, usłyszeli ciężki oddech, a potem jej wołanie, by przyszli szybko. Kapitan leżał na swym żelaznym łóżku w alkwie, pani Forrester usiłowała unieść mu głowę.

-- Szybko, Niel! Musimy podłożyć poduszki. Podaj te z mego łóżka.

Niel delikatnie odsunął ją na bok. Pot wystąpił mu na twarz, gdy wsunął ręce pod ramiona kapitana i natężył siły. Było to jak dźwiganie zranionego słonia. Sędzia Pommeroy powrócił spieszenie do salonu i zatelefonował do doktora Dennisona z wiadomością, że kapitan rażony jest atakiem apopleksji.

Jeden atak nie mógł wykończyć kogoś takiego jak Daniel Forrester. Przeleżał w łóżku trzy tygodnie. Opiekowała się nim pani Forrester i Ben Keezer, a Niel im pomagał. Chociaż

w owym okresie często bywał w tym domu, nigdy nie widział pani Forrester samej, prawdę mówiąc -- rzadko ją w ogóle widywał. Stała się jakby nieobecna i niemal obojętna na wszystko, tak była zajęta. Należało odpowiadać na liczne listy i dziękować za przysyłane w podarunku owoce, wina i kwiaty. Pełne troski zapytania nadchodziły od przyjaciół rozrzuconych po całym kraju, od Missouri aż po Góry Skaliste. Pani Forrester, jeśli nie czuwała przy kapitanie lub nie przyrządzała w kuchni specjalnych dla niego potraw, to była u siebie, przy biurku.

Pewnego ranka, gdy tam siedziała, zjawił się pewien dostojny gość. Niel czekał przy drzwiach na listy, by zabrać je na pocztę, gdy ujrzał wspinającego się na wzgórze wysokiego mężczyznę o rudych węsach, w pomiętym ubraniu z surowego chińskiego jedwabiu i słomkowym kapeluszu; był to Cyrus Dalzell, prezes spółki Colorado-Utah, przybyły osobiście własną salonką, by dowiedzieć się o zdrowie starego przyjaciela. Niel uprzedził panią Forrester. Pospieszyła natychmiast na spotkanie gościa, który właśnie wchodził na stopnie ganku ocierając twarz czerwoną jedwabną chustką.

Ujął obydwie jej dłonie i ciepłym, niskim głosem powiedział: -- Otóż i ona, świeża jak panna młoda! Czy mogę skorzystać ze starego przywileju?...

Schylił się i pocałował ją w policzek.

Nie

będę ci przeszkadzał, Marianno -- rzekł wchodząc do domu -- ale chcę na własne oczy stwierdzić, jak czuje się chory i jak sobie tu radzisz.

Pan Dalzell przywitał się z Nielem i nie przerywając rozmowy krążył po pokoju cicho i niezdarne jak niedźwiedź. Pani Forrester zatrzymała go, by poprawić rozluźniony żółty krawat i obciągnąć pomiętą marynarkę.

--Od razu widać, że Kitty była nieobecna dziś rano, kiedy się ubierałeś -- powiedziała -ze śmiechem.

-- Dziękuję ci, dziękuję, moja droga. Mam w pociągu służącego, który nie zdaje sobie sprawy z zakresu swych obowiązków. Żółtodziób. Kitty chciała się wybrać ze mną, ale przyjechały do nas z Portsmouth w odwiedziny dwie nieprzytomne bratanice i uważała, że nie powinna wyjeżdżać. Kazałem przyczepić moją salonkę do ekspresu Burlingtona i zjawiłem się sam. A teraz powiedz mi, co z Danielem. Czy to był atak apopleksji?

Pani Forrester usiadła obok niego na sofie i opowiedziała o chorobie męża; przerywał jej pytaniami i uwagami pełnymi współczucia, z czułością poklepując jej rękę, którą trzymał w swych dużych, miękkich dłoniach.

-- Teraz mogę wrócić do domu i powiedzieć Kitty, że kapitan wkrótce będzie zdrow jak zawsze -- i że ty wyglądasz, jakbyś miała dziś otworzyć bal. Szepnij Danielowi do ucha, że mam w wagonie dwie skrzynki porto, które

postawi go na nogi prędzej niż wszystkie leki, jakie mu doktorzy przepiszą. Przywiozłem też tuzin butelek sherry dla pewnej pani, która zna się nie najgorzej na winie. A następnej zimy przyjedziecie oboje do Springs, dla zmiany powietrza.

Pani Forrester łagodnie potrząsnęła głową. -- Och, obawiam się, że to tylko piękne marzenie. Ale będziemy o tym marzyć, mimo wszystko.

W chwili gdy Cyrus Dalzell wszedł na wzgórze, świat cały dla niej pojaśniał. Nawet długie kolczyki z granatów zdawały się płonąć głębszą barwą przy jej policzkach -- pomyślał Niel. Jakby stała się inną kobietą niż ta, co przed półgodziną siedziała w tym samym pokoju przy biurku. Palce jej, gdy muskały rękaw z czesu- czy, zdawały się lekkie i lotne jak skrzydła motyla.

-- Wcale nie marzenie, moja droga. Kitty wszystko już przygotowała. Wiesz, jak szybko ona potrafi obmyślić każdą rzecz. Przyjadę po was salonką. Danielem zaopiekuje się mój stary służący Jim, a ty będziesz się bawić i napelnisz nas wszystkich nowym życiem. Ostatniej zimy przekonaaliśmy się, że bez naszej pani Forrester nie możemy sobie poradzić. Nic się bez niej nie udaje. Robiliśmy przyjęcia i zabawy i potem zawsze zastanawialiśmy się, po kiego licha spraszać gości. O nie, nie możemy się obejść bez ciebie.

Łzy nabiegły jej do oczu. -- Jak to miło z twojej strony. Przyjemnie jest, gdy ludzie pamiętają o nieobecnych.

W głosie jej była rozdzierająca serce słodycz, którą słychać czasem w pięknych, starych, czułych pieśniach.

Rozdział 9

Po trzech tygodniach kapitan wstał i zaczął znów chodzić. Pociągał lewą nogą i prawe ramię miał nieco bezwładne. Odzyskał wprawdzie mowę, lecz była nieczysta -- niektóre słowa mówił bardzo niewyraźnie -- przemykał się po nich opuszczając sylaby. Dlatego unikał rozmów jeszcze bardziej, niż miał w zwyczaju. Doktor powiedział, że jeśli atak nie powtórzy się, to kapitan może całkiem nieźle żyć jeszcze parę ładnych lat.

W sierpniu Niel miał jechać do Bostonu, by przygotować się do egzaminu w Instytucie Technicznym stanu Massachusetts, gdzie zamierzał studiować architekturę. Odkładał pożegnanie z Forresterami aż do chwili wyjazdu. Ostatnie odwiedziny różniły się od wszystkich innych jego odwiedzin. Potraktowano go jak dorosłego mężczyznę. Siedział dość sztywno w tym samym salonie, w którym tak często czuł się jak w domu. Kapitan zagłębiony w wielkim fotelu w okiennej wnęce pełnej blasku popołudniowego słońca odzywał się rzadko, lecz z wielką serdecznością. Pani Forrester na sofie w zacie-

nionym kącie pokoju mówiła o planach Niela i jego podróży.

-- Czy to prawda, że Mary wychodzi za Pu- celika w jesieni? -- zapytał Niel. -- Kogo pani weźmie do pomocy w gospodarstwie?

-- Na razie nikogo. Ben będzie robił to wszystko, czego ja nie potrafię. Nie przejmuj się nami. Spędzimy zimę spokojnie, jak para starych ludzi, przywykłych do życia na wsi -- odparła lekko.

Niel wiedział, że myślała o zimie z przerażeń niem, lecz nigdy nie widział jej bardziej panującej nad sobą -- i nad domem, w którym miała stać się służącą. Miał uczucie -- nigdy go przedtem nie doznał -- że ten lekki ton wiele ją kosztuje.

-- Nie zapominaj o nas, ale nie wpadaj w przygnębienie. Postaraj się o wielu nowych przyjaciół. Dwadzieścia lat ma się tylko raz :w życiu. Wybierz się na kolację z jakąś ehórystką -- tylko ładną, pamiętaj! Nie przejmuj się pieniędzmi. Jeśli wpadniesz w tarapaty, na pewno będziemy mogli cię poratować małym czekiem, prawda, panie Forrester?...

Kapitan sapnął i zdawał się rozbawiony. -- Tak myślę, chłopcze, tak myślę. Nie ruszaj się, musisz zostać na kolacji.

Niel powiedział, że nie może zostać. Nie skończył jeszcze pakowania, ^a wyjeżdżał rannym pociągiem.

-- Wobec tego musimy się czegoś napić przed twoim odejściem -- kapitan ciężko podniósł się podparty laską i poszedł do jadalnego pokoju. Wrócił z karafką i uroczyście napełnił trzy kieliszki. Podniósł swój kieliszek, zamilkł na chwilę, gak zwykle, i zmrużył oczy.

-- Szczęśliwych dni!

-- Szczęśliwych dni! -- powtórzyła jak echo pani Forrester z najbardziej uroczym uśmiechem. -- I za powodzenie Niela!

Oboje, kapitan i jego żona, odprowadzili Niela do drzwi i stali na ganku w tym samym miejscu, gdzie tak często ich widywał żegnających jgośgfc Schodził ze wzgórza wzruszony i szczęśliwy. Na moście nastrój ten znikł. Czy owo mrozące zwątpienie zawsze będzie czekać na niego tu, gdzie pewnego ranka rzucił w błoto bukiet róż?

Pragnął gorąco zadać tej kobiecie jedno pytanie, wydobyć z niej prawdę i uspokoić umysł: co działo się z całą jej doskonałością przy takim człowieku jak Ellinger? Gdzie to zniknęło? A jeśli potrafiła odsunąć wszystko na bok, to w jaki sposób była na powrót sobą i ludziami -- nawet on -- czuli w niej nieugiętość hartowanej stali, ostrze, które mogło zmierzyć się z każdym i nie złamać?

Część druga

Rozdział 1

Minęły dwa lata, zanim Niel Herbert wrócił do domu, a gdy wrócił -- pierwszym napotkanym znajomym był Ivy Peters. Ivy wsiadł do pociągu na krótko przed Sweet Water; w małej osadzie na wschód od miasta prowadził jakąś sprawę. Przechodząc przez wagon spostrzegł wśród pasażerów młodego człowieka w szarym flanelowym ubraniu, do którego miał niebieską jedwabną koszulę i niebieski krawat w nieco innym odcieniu. Przyglądał się przez chwilę plecom tej po wielkomięjsku wyglądającej osoby, potem z wyraźną satysfakcją obrzucił spojrzeniem własne ubranie. Mimo upalnego dnia miał na sobie czarny filcowy kapelusz i zimowy, jeszcze w dzieciństwie wymarzony garnitur ze sklepu z fabryczną konfekcją. Zrobił krok naprzód nie wyjmując rąk z kieszeni.

-- Cześć, Niel. Pomyślałem sobie, że chyba mnie oczy nie mylą.

Niel odwrócił się i ujrzał czerwoną, jak przez pszczoły pokłutą twarz, znajome dołki na policzkach i skierowany do niego lekko drwiący uśmiech.

-- Jak się masz, Ivy! Ciebie też trudno nie poznać.

-- Wracasz do domu, żeby wejść do firmy?

Niel odparł, że przyjechał tylko na wakacje.

-- Toś jeszcze nie skończył nauki? Inna rzecz, że więcej trzeba czasu, żeby zostać architektem niż gówniarzem. To zresztą nieważne; mało się buduje w Sweet Water. Ale zastaniesz wiele zmian.

-- Może siądziesz? -- Niel wskazał sąsiedni fotel. -- Jesteś prawnikiem?

-- Tak, mam praktykę adwokacką, oprócz kilku innych rzeczy. Człowiek musi kombinować, żeby jakoś wyżyć. Zajmuję się trochę roi-, nictwem, na boku. Dzierżawię łąki od Forresterów. Wydrenowałem stare bagno i zasiałem tam pszenicę. John, mój brat, robi w polu, a ja wszystkim zarządzam. Mam niezłe zyski. Płacę Forresterom dobrze za dzierżawę, a potrzebują pieniędzy. Wątpię nawet, czy bez tego daliby sobie radę. Ustosunkowani przyjaciele jakoś nie spieszą im z pomocą. Pamiętasz tych wszystkich opasłych drabów, których kapitan woził bryką, dla których sprowadzał bourbon beczkami? Dużo blagi jest w tym, co się mówi o starym pokoleniu. Wypadli z gry w czasie paniki. Forresterowie przestali się liczyć razem z całą resztą. Pamiętasz, jak stary nas musztrował, nie pozwalał przynosić broni? Może drań ze mnie, ale najbardziej lubię sobie postrzelać właśnie nad jego rzeczką, bardziej niż gdzie indziej. Nie mówię, żeby mi kiedy zrobił coś złego, ale za bardzo sobie wyobrażał, że jest wielkim panem. Lepiej mu dzisiaj, kiedy żyje jak my wszyscy i nie musi co dzień zmieniać koszuli. -- Nieruchome spojrzenie jego zielonkawych oczu spoczęło na kołnierzyku Niela.

Lecz Niel tego nie dostrzegł. Wiedział, że Ivy czekał na objaw niezadowolenia z jego strony i postanowił nie okazać żadnego. Zapytał o zdrowie kapitana, starannie unikając jakiegokolwiek wzmianki o pani Forrester.

-- Staremu pomieszało się trochę w głowie... ale wydaje się zadowolony... Ona dobrze się nim opiekuje, trzeba to przyznać... Szuka oczywiście pociechy jak zawsze... wiesz, o czym mówię... pije trochę za dużo... francuskiego koniaku... ale zawsze dba o męża. Nie potępiam kobiety... Ciężko jej przywyknąć do pracy.

Niel słuchał tych uwag w roztargnieniu, zajęty pewną myślą. Czuł, że Ivy wydrenował mokradła nie tylko dla uzyskania ornej ziemi, ale również, aby okazać pogardę jemu i pani Forrester. Co więcej, Niel był prawie pewien, że Ivy dotychczas sam nie zdawał sobie sprawy, jak ważny był dla niego ów drugi powód. Nie lubili się z Ivym od samego dzieciństwa, ślepo, instynktownie, poznając się nawzajem poprzez antypatię, jak niektóre owady. Osuszeniem mokradła Ivy zniszczył coś nienawistnego, coś, czego nie umiałby nazwać, i ustanowił swą władzę nad ludźmi, którzy nieprzydatne łąki kochali za ich leniwy spokój i srebrzystą urodę.

Ivy powrócił do wagonu dla palących, a Niel

m

pozostał przy oknie i obserwując zakręty rzeki pogrążył się w myślach. Stary Zachód został ujarzmiony przez marzycieli, przez awanturników wielkodusznych i niepraktycznych do granic wspaniałości; tworzyli szlachetne bractwo, silne w ataku, lecz słabe w obronie, umieli zdobywać --- nie umieli utrzymać zdobyczy. Pozyskany przez nich ogromny kraj znalazł się na łasce takich jak Ivy Peters, którzy nigdy nie musieli na nic się ważyć, niczego ryzykować. Będą teraz czerpać z cudzych marzeń do dna, zniszczą poranną świeżość tej ziemi; zadumany duch wolności zniknie jak drzewo karczowane z korzeniami, zamrze spokojne, szczodre życie wielkich posiadłości ziemskich. Swobodę i przestrzeń, barwny księżący rozmach pionierów zamienią na drobne przynoszące zyski, jak w fabryce zapalek zamienia się na drzazgi dziewiczy las. Od Missouri po łańcuch gór pokolenie przebiegłych młodych ludzi, zaprawionych przez ciężkie czasy do małych oszczędności, uczyni dokładnie to samo, co uczynił Ivy Peters osuszając podmokłe łąki kapitana Forrestera.

Rozdział 2

Następnego popołudnia Niel zastał kapitana Forrestera na zarośniętym gazonie, który kapitan nazywał swoim ogrodem różanym; siedział w masywnym fotelu z hikory, zostawianym na powietrzu przy każdej pogodzie; dwie swoje las

ki miał przy sobie. Uwagę skupiał na bloku czerwonego piaskowca z Colorado, spoczywającym na granitowej podstawie w samym środku wysypanego żwirem placu, dokoła którego rosły róże. Objął chłopcu, że to jest jego zegar słoneczny, i z dumą opowiedział jego historię. Zeszłego lata, mówił, wiele czasu spędził w tym fotelu i z zegarkiem w ręku znał długość cienia na kwadratowej desce przymocowanej do słupka. Przyjaciel jego, Cyrus Dalzell, w czasie jednej ze swych wizyt zabrał ze sobą deskę, ka- Łał dokładnie skopiować wykres na piaskowcu i przystał mu płytę wraz z granitowym słupem, który tworzy podstawę słonecznego zegara.

-- Sądę, że pan Dalzell niejednym razem spędził w górach szukając gładkich kamieni o naturalnym kształcie kolumny -- powiedział kapitan -- o takich gładkich kamieniach wspomina Biblia. Ten również pochodzi z ogrodu Boga. Pan Dalzell ma w górach letni domek.

Kapitan siedział ze złożonymi do środka stopami, rozstawiwszy szeroko kolana. Wszystko w nim zdawało się cięższe i słabsze, a twarz -- grubsza i gładsza, o rysach rozlanych jak twarz z wosku, gdy topnieje w ogniu. Stary słomkowy kapelusz, spalony słońcem, osłaniał mu oczy. Zbrązowiałe dłonie spoczywały na kolanach, palce leżały rozpostarte nieruchomo. Wąsy zachowały barwę słomy i Niel powiedział mu, że nie posiwił. Kapitan dotknął dłonią policzka.

--■ Tym razem ogoliła mnie pani Forrester. Robi to bardzo ładnie, ale nie chcę jej trudzić.

Używam teraz tych żyłek ostrożnie. Fryzjer przychodzi raz na tydzień. Pani Forrester czeka na ciebie, Niel. Jest na dole, w lesie. Chodzi tam, żeby odpocząć w hamaku...

Niel obszedł dom i skręcił ku wiodącej do lasu furtce. Ze szczytu wzgórza dojrzał hamak zawieszony pomiędzy topolami, nisko na polance, gdzie kiedyś spadł z drzewa i złamał ręką. Smukła, biała postać leżała nieruchomo, a gdy spiesząc w dół znalazł się bliżej, zobaczył, że twarz była zakryta białym ogrodowym kapeluszem. Podszedł ostrożnie zastanawiając się, czy pani Forrester nie śpi, gdy usłyszał cichy, rozbawiony śmiech; szybkim ruchem odrzuciła koronkowy kapelusz -- śledziła chłopca wzrokiem przez ażurową koronkę. Zrobił jeszcze krok i chwycił w ramiona jej zawieszony ciało, razem z hamakiem i ze wszystkim. Jaka była lekka i pełna życia! Jak ptak złapany w siatkę. Gdybyż mógł ją uratować i zabrać stąd, przenieść na rękach z tego padołu smutku i nieuniknionych zmian tam, gdzie nie ma starości ani zmęczenia, ani złego losu.

Niczym nie zdradzała, że pragnie być wyzwo- lona; leżała w jego ramionach śmiejąc się, a w tym śmiechu było coś dzikiego i wytwornego jednocześnie, coś fantastycznie pociągającego -- pozorną naturalność, w rzeczywistości jakże mistrzowskie udawanie! Ujęła go pod brodę, jakby wciąż jeszcze był małym chłopcem.

-- Ależ nam wyprzystojnia! Sędzia na pewno dumny jest ze swego siostrzeńca! Zatelefonował do mnie wczoraj wieczorem i mamrotał do słuchawki: „Obowiązek uczciwości każe mi łaskawą panią uprzedzić, że mam w domu bardzo przystojnego chłopca...” Jakbym sama nie wiedziała, że tak będzie! Jesteś teraz mężczyzną i poznałeś trochę świata. Powiedz, co tam znalazłeś?

-- Nic tak ślicznego jak pani.

-- Nonsens! Masz jakieś dziewczyny?.

-- Być może.

-- Ładne?

--- Dlaczego liczba mnoga? Czy jedna nie wystarczy? '

-- Jedna to za dużo. Chcę, żebyś ich miał pół tuzina -- najlepszą schowaj dla nas! Jedna dziewczyna zabiera wszystko. Gdybyś miał ukochaną, nie przyjeżdżałbyś do domu. Zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę, jak na ciebie czekaliśmy. -- Wziąwszy jego dłoń obracała mimowiednie sygnet z pieczęcią, który nosił na małym palcu. -- Od tygodni każdego wieczoru, kiedy w dole, za łąkami, przelatywały światła pociągu, mówiłam sobie: „Niel przyjeżdża, jest przynajmniej na co czekać”. -- Urwała, jak zwykle, gdy zdarzyło się jej za dużo powiedzieć, i zakończyła tonem żartobliwym: -- Widzisz więc teraz, co dla nas znaczysz. Czy widziałeś pana Forrester?...

-- O tak. Musiałem się zatrzymać i popatrzeć na zegar słoneczny.

Uniosła się na łokciu. -- Niel -- zniżyła głos -- czy ty to rozumiesz? On wcale nie zdzie

cinniał, jak twierdzą niektórzy, ale potrafi siedzieć i patrzeć na ten zegar całymi godzinami. Czy można lubić widok pożeranego czasu? Wszyscy przywykliśmy do tego, że zegar idzie naprzód... On pragnie zobaczyć, kiedy na kamienną tarczę zajdzie cień. Dlaczego? Czy bardzo się zmienił?... Nie? Cieszę się, że tak uważasz. A teraz powiedz mi o Adamsach i jak wygląda George...

Niel usiadł na trawie oparłszy plecy o pień drzewa i odpowiadając na szybko rzucane pytania przyglądał się mówiącej. Oczywiście postarzała. W blasku słońca widać było, że skóra jej nie przypomina już białego bzu -- miała odcień kości słoniowej, jak gardenie, gdy zaczynają więdnąć. Węzeł kruczoczarnych włosów bardziej niż kiedykolwiek zdawał się zbyt ciężki dla jej głowy. W kącikach ust pojawiły się linie -- wyraz napięcia, którego dawniej nie było. Zmiany te potrafiły jednak momentalnie zniknąć w zdumiewający sposób, jakby całkowicie wymazane -- wystarczył z jej strony jakiś spontaniczny przejaw osobowości i patrząc na panią Forrester człowiek pamiętał tylko jedno: że to ona.

-- Powiedz mi jeszcze, Niel, czy to prawda, że panie palą teraz po obiedzie razem z panami, panie z towarzystwa? Mnie się to nie podoba. To dobre dla aktorek, ale kobiety nie mogą być interesujące, kiedy robią to samo co mężczyźni.

-- Przyszło mi w tej chwili do głowy, że to taka moda dziś wśród kobiet -- robić przede wszystkim to, co wygodne...

Pani Forrester spojrzała na Niela, jakby powiedział coś bardzo niestosownego. -- Właśnie o to chodzi! Bo coś mi się tu nie zgadza. Sporty

1 wyższe uczelnie, i palenie po obiedzie -- czy tobie się to naprawdę podoba? Czy mężczyźni nie wolą, by kobiety różniły się od nich? Zwykle tak było.

Niel zaśmiał się. Tak, pokolenie pani Forrester istotnie miało takie pojęcia. -- . -- Wujek mówi, że już go pani nie odwiedza jak .dawniej. Bardzo mu tego brak.

■-- Mój drogi chłopcze, nie byłam w mieście od sześciu tygodni. Zawsze jestem taka zmęczona Nie mamy teraz konia i jeśli wybieram się do miasta, to na piechotę. Ten dom! Nic tu się beze mnie nie zrobi i nic się nie ruszy, jeśli sama czegoś nie ruszę z miejsca. Dlatego przychodzę tutaj po południu. Stąd nie widać domu. Nie mogę utrzymać go w takim stanie, jak powinnam, nie mam na to sił. Ben pomaga mi, a jakże! Zamiata, trzepie dywany i myje okna, ale to jeszcze nie wszystko...

Pani Forrester usiadła nagle, włożyła biały kapelusz i przypięła go szpilką. -- Jeździliśmy aż do Chicago po komplet tych orzechowych mebli, tu, na miejscu nie mogłam znaleźć tak dużych i ciężkich. Gdybym wiedziała, że pewnego dnia będę musiała sama je przesuwac, zadowolilibym się czymś skromniejszym.

Wstała i wygładziła pomiętą spódnice.

Ruszyli w stronę domu powoli wspinając się na zbocze porośniętą trawą pod drzewami.

-- Nie brakuje pani tych mokrych łąk? -- spytał nagle Niel.

Uciekła wzrokiem w bok. -- Nie bardzo -- odparła wymijająco. -- Nie miałabym nigdy czasu na spacer, a pieniądze, które za to dostajemy, są nam potrzebne. I ty również nie masz czasu bawić się na łąkach, Niel. Musisz się spieszyć, żeby zostać kimś. Twój wuj jest w wielkich tarapatach. Był tak nieostrożny, że w rezultacie posiada teraz niewiele więcej od nas. Pieniądze to bardzo ważna rzecz. Zdaj sobie z tego sprawę od razu, na początku, pogódź się z tym i nie bądź tak śmieszny jak tyłu z nas. -- Przystanęli u bramy i ze szczytu wzgórza spojrzeli na dół -- na zielone ścieżki, na ostre cienie, na drżące wachlarze światła, które wśród grubych i jakby rozsuwających się pni drzew tworzyły Elizejskie Pola. Pani Forrester położyła dłoń na ramieniu chłopca; zauważył, że miała na palcach wszystkie swoje pierścionki.

-- Czy naprawdę cieszysz się, żeś wrócił do nas? Uważam to za dość niezwykle. W twoim wieku wolałam młode i wesołe towarzystwo. Ale nam jest z tobą bardzo dobrze. -- Spojrzała na niego z najrzadszym ze swych uśmiechów, który widział na jej twarzy tylko parę razy, lecz zawsze pamiętał -- z uśmiechem nie wyniosłym i nie wesołym, za to pełnym tkliwości i rzewnego smutku. To samo było w jej głosie, gdy cicho wypowiedziała te słowa -- nagły spokój głębokiego uczucia. Szybko odwróciła się od chłopca. Weszli przez furtkę i okrążywszy dom znaleźli kapitana -- siedział podziwiając swe róże, na które kładł się blask wspaniałego zachodu. Żona dotknęła jego ramienia.

| -- Wejdziemy teraz do domu, czy przynieść [płaszcz?

-- Pójdę do domu. Czy Niel zostanie na obiedzie?

-- Nie dzisiaj. Ale przyjdzie wkrótce i poczytujemy go nie byle jakim obiadem. Czy będziesz towarzyszył panu Forresterowi, Niel? Muszę biec do domu i rozpalić pod kuchnią.

Zostawiła Niela, który dotrzymywał towarzystwa kapitanowi w jego mozolnym pochodzie w stronę domu. Wsparty na dwóch laskach, powoli podnosił stopy i ostrożnie stawiał je na ziemi. Wyglądał jak stare drzewo, które idzie.

Gdy pokonał stopnie ganku i znalazł się w salonie, zapadł w głęboki fotel ciężko dysząc. Cygaro natychmiast przywróciło mu siły.

-- Czy mogę cię prosić, Niel, o wrzucenie tego do skrzynki, gdy będziesz przechodził koło urzędu pocztowego? -- Wyciągnął z kieszeni letniej kurtki kilka listów. -- Czeka, niech zobaczę, czy nie ma jakich listów pani Forrester. Wstał i przeszedł do małego przedpokoju. Stała tam na stoliczku obok drzwi wejściowych, pod wieszakiem od kapeluszy kuso ubrana figurka arabskiej czy egipskiej niewol-

2MS1..

fornijskiego wybrzeża. Niel pamiętał, że pó raz pierwszy zauważył tę figurkę, kiedy doktor Dennison niósł go z ramieniem w łupkach przez ten przedpokój. W czasach gdy Forresterowie mieli służbę, którą wysyłano do miasta po kilka razy dziennie, listy zostawiało się zawsze w tej muszli. Kapitan znalazł obecnie jeden, koperta była zaadresowana do pana Franciszka Boswortha Ellingera w Glenwood Springs, w stanie Colorado.

Z jakiegoś powodu Niel poczuł zakłopotanie i usiłował jak najprędzej wsunąć list. da szeni, lecz kapitan trzymając obydwie laski w jednej ręce uprzedził go. Wziął ponownie bladoniebieską kopertę i odsuwając ją na dłu-> gość ramienia przyjrzał się jej dokładnie.

-- Jakie piękne pismo ma pani Forrester, zauważyłeś to? Zawsze miała takie. Gdy pisała mi na kartce listę zakupów, nigdy nie musiałem się z nią kryć. Była jak miedzioryt. Jest to rzecz rzadka u kobiety, mój chłopcze.

Niel doskonale pamiętał jej charakter pisma, nie znał podobnego. Długie, cienkie, ostro zakończone litery, dziwnie delikatne i dziwnie śmiałe, wyginały się i wiązały ze sobą w koronkę cienką jak włos, a przecież całkowicie czytelną. Robiły wrażenie pisanych pośpiesznie, lecz ręką pewną i znającą sztukę kaligrafii

-- O tak, panie kapitanie! Nie umiem się powstrzymać od spojrzenia na każdy list pani

Forrester, który zabieram na pocztę. Trudno zapomnieć takie pismo.

-- Tak, jest zupełnie wyjątkowe. -- Kapitan oddał- mu kopertę i podpierając się laskami wrócił powoli do swego głębokiego fotela.

Niel często zastanawiał się, ile też kapitan mógł wiedzieć. Schodząc teraz ze wzgórza pewien był, że kapitan wiedział bardzo dużo; więcej niż ktokolwiek; że wiedział wszystko, co można było wiedzieć o Mariannie Forrester.

r - - . -. Kinal

r ^m&mEjggm

/

Rozdział 3

Niel zamierzał dużo czytać tego lata w lesie Forresterów, lecz chadzał tam rzadziej, niż pragnął. Irytowała go obecność Ivy Petersa. Ivy zaglądał na swoje pszeniczne pola w dolinie bardzo często, a potem zawsze wybierał starą ścieżkę wiodącą przez dawne mokradła ostro pod górę i przez las. Potrafił zjawić się o każdej porze -- siedł między rzędami drzew z miną właściciela wsunąwszy nogawki spodni w wysokie cholewy butów. Furtkę za domem zamykał z głośnym trzaskiem i gwizdząc przechodził przez podwórze. Często przystawał przy kuchennym oknie, żeby rzucić pani Forrester jakiś żarcik. Sprawiało to Nielowi przykrość, ponieważ wczesnym rankiem pani Forrester, zajęta pracami domowymi, nie była odpowiednio ubrana, by przyjmować ludzi poniżej jej stanu. Inną jest rzeczą witać prezesa spółki Colorado-

-Utah en deshabelle, a zupełnie inną gawędzić z nieokrzesanym typem w rodzaju Ivy Petersa, kiedy się jest w fartuchu i domowych pantoflach, z rękawami zawiniętymi po łokieć i odsłoniętą szyją, wystawioną na bezczelne spojrzenia jego zimnych oczu.

Ivy przechodził niekiedy przez gazon róż, gdzie kapitan Forrester wygrzewał się na słońcu -- przechodził nie patrząc na starca, jakby go wcale nie było. Jeśli czasem odezwał się, to jak do człowieka, który niczego nie rozumie. -- Cześć kapitanie, nie boi się pan, że słońce zaszkodzi na cerę? --- Albo: 'Trzefia' będzie, kapitanie, zarządzić modlitwy w sprawie deszczu. Susza okropnie? szkodzi mojej pszenicy.

Pewnego poranka Niel wspinając się przez lasek usłyszał przy furtce śmiech. Po chwili ujrzał Ivy Petersa stojącego ze strzelbą przy płocie; mówił coś do pani Forrester, która miała głowę niczym nie osłoniętą, ramieniem obejmowała wiadro oparte o płot, a wiatr rozwiewał jej spódnicę. Ivy rozmawiał w kapeluszu na głowie, lecz w całej jego postawie czuło się to coś, co nieomylnie dowodzi, że mężczyzna chce się spodobać kobiecie. Opowiadał jakąś zabawną historyjkę, na pewno niestosowną, gdyż pani Forrester wybuchała raz po raz najniegodziwszym swym śmiechem, w którym było dużo nerwowego podniecenia -- Ivy musiał posunąć się za daleko. Skończywszy anegdotę sam zarechotał jak parobek Pani Forrester pogroziła mu palcem i chwyciwszy wiadro pobiegła do domu. Ugięła się nieco pod ciężarem, lecz Ivy wcale nie spieszył z pomocą. Pozwolił jej dźwigać wiadro, jakby była kuchenną dziewczką, spełniającą swój obowiązek.

Niel wynurzył się z lasku i zatrzymał przy kapitanie siedzącym w ogrodzie.

-- Dzień dobry, panie kapitanie. Czy to Ivy Peters przechodził tędy przed chwilą? Ten typ zachowuje się gorzej od bydłęcia -- wyrzucił z siebie.

Kapitan wskazał chłopcu krzesło opuszczone przez panią Forrester.

-- Usiądź -- powiedział -- usiądź, Niel. -- Wyciągnął z kieszeni chustkę i zaczął przecierać okulary.

-- Tak -- rzekł cicho -- nie jest on zbyt grzeczny.

To ostrożne potwierdzenie bardziej od gorzkiej skargi pozwalało pojąć, do jakiego stopnia kapitan czuł się urażony grubiaństwem Ivy Petersa. W głosie kapitana było coś bardzo smutnego i bezradnego. Od ludzi równych jemu doznawał zawsze należącego szacunku; takim, jak Ivy zdolny był nakazać szacunek -- wyprosić ze swej posiadłości albo zwolnić ze służby.

Niel usiadł i wypalił z kapitanem cygaro. Odbyli długą rozmowę na temat budowy bocznej linii Burlingtona przez Góry Czarne. Ostatniej zimy Niel poznał w Bostonie starego właściciela kopalni, który mieszkał w Deadwood, gdy dotarł tam pierwszy pociąg. Kiedy Niel

spytał go, czy znał Daniela Forrester, starzec odparł: „Forrester? Czy to ten z piękną żoną?”

-- Musisz jej to powtórzyć -- powiedział kapitan gładząc ciepłą tarczę słonecznego zegara. -- Tak, oczywiście. Musisz powtórzyć to pani Forrester.

Pewnej nocy w pierwszym tygodniu czerw ca* przepięknej księżycowej nocy Niel nie mógł czytać, a nawet wręcz usiedzieć w domu. Ruszył przed siebie szeroką, pustą ulicą i przebył pierwszą rzekę po moście dla pieszych. Rozległ pola czekające żniw, wszystko dokoła wyglądało jak ogród pogrążony we śnie. Szło się w kurzu krokiem miękkim i cichym, aby nie naruszyć tego snu.

Na drodze kapitana Forrester powietrze wypełniała słodka won koniczyny. Odkąd Niel pamiętał, zawsze rosła tu koniczyna, wysoka i zielona; kapitan pozwalał kosić ją dopiero razem z chwastami, na jesieni. Czarne, podobne do piór cienie topoli padały na drogę i na pola pszenicy, którą zasiał Ivy Peters. W pewnej chwili Niel ujrzał białą postać na drewnianym moście, stojącą nieruchomo w świetle księżyca. Przyspieszył kroku. Pani Forrester patrzyła na jasny nurt rzeki toczącej się w dole po kamieniach. Podeszedł do niej.

-- Pan kapitan śpi? 11

-- O tak, już od dawna. Sypia dobrze, chwala Bogu. Kiedy otulę go kołdrą, to potem już nic. nie mam do roboty.

Stali rozmawiając przyciszonym głosem, gdy nagle usłyszeli trzaśnięcie jakichś ciężkich drzwi na wzgórzu. Pani Forrester wzdrygnęła się i obejrzała przez ramię. Ktoś wynurzył się z cienia domu i ciężkim krokiem schodził w dół. Ivy Peters wszedł na most.

-- Dobry wieczór -- powiedział do pana Forrester nie wymieniając jej imienia i nie zdejmując kapelusza. -- Widzę, że ma pani towarzystwo. Byłem na górze, zaglądałem do stajni, bo chcę tam jutro zostawić konie. Rano zaczną żąć pszenicę i na południe będziemy musieli postawić konie w waszej stajni. Prowadzić je na dół do miasta to wielka strata czasu.

-- Ależ oczywiście. Może pan umieścić konie w naszej stajni. Jestem pewna, że pan Forrester nie będzie miał nic przeciw temu. -- Tak to powiedziała, jakby Ivy prosił ją o pozwolenie.

-- Och! -- Ivy wzruszył ramionami. -- Ludzie zaczną pracę na dole o szóstej. Ja przyjdę nie wcześniej jak o dziesiątej, o trzeciej mam klienta w kancelarii. Może da mi pani coś do zjedzenia w południe, to oszczędzę czasu.

Bezczelność tej propozycji wywołała uśmiech aa jej twarzy.

-- Doskonale, w takim razie zapraszam pana na lunch. Jemy o pierwszej.

-- Dziękuję. To mnie urządza. -- Chyba przez zapomnienie uchylił kapelusza i już go

nie włożył, tylko trzymanym w ręce wymachiwał odchodząc drogą.

Niel odprowadził go wzrokiem. -- Dlaczego pozwala pani mówić w taki sposób? Jeśli pani chce, zbiję go i nauczę, jak ma się zwracać do pani.

--■ Nie, nie, Niel! Pamiętaj, że musimy być z nim dobrze, po prostu musimy. -- Z lękiem w głosie chwyciła go za ramię.

-- Nie musi pani niczego brać od Ivy Petersa ani znosić złych manier; każdy zapłaci wam za tę ziemię tyle co on.

-- Ale on ma dzierżawę na pięć lat i może nam zupełnie obrzydzić życie, nie rozumiesz tego? Poza tym -- mówiła szybko -- są jeszcze inne powody. Pomógł załatwić mi pewną sprawę -- kupno ziemi w Wyoming. Nie wiem w jaki sposób, ale kupuje od Indian wspaniałą ziemię prawie za darmo. Nie mów nic wujowi, na pewno jest w tym jakieś oszustwo. Ale sędzia jest jak pan Forrester --- stosuje metody; dziś już nieskuteczne. Nigdy nie wyciągnie nas z długów, mój kochany pocziwina! Sam sobie nie może poradzić z własnymi sprawami. Ivy Peters jest piekielnie sprytny, rozumiesz. Pół miasta należy już do niego.

-- Niezupełnie -- odparł Niel ponuro. -- Ale nabył wiele nieruchomości. Umie wykorzystać cudzą biedę. Przecież pani wie, że to człowiek bez żadnych skrupułów. Dlaczego nie pozwoli pani, żeby prezes Dalzell albo któryś ze starych przyjaciół pokierował pani sprawami?

||| Och, chodziło o taką niewielką sumkę, kilkaset dolarów za ledwie, które zaoszczędziłam na gospodarstwie. Oni ulokowałyby to w czymś pewnym, na sześć procent. Wiem, że nie lubisz Ivy Petersa Sja i on wie o tym. W twojej obecności jest zawsze najgorszy. Wcale nie jest taki okropny jak... jak jego twarz na przykład. -- Roześmiała się nerwowo. -- Szczerze pragnie pomóc nam wyjść z tarapatów. Kręcąc się tu przez cały dzień wszystko widzi i sądzę, że z prawdziwą przykrością patrzy, jak ja się męczę...

-- Kiedy następnym razem zechce pani znowu coś zainwestować, proszę mi pozwolić, a zawiozę pieniądze do pana Dalzella i wyjaśnię mu wszystko. Przysięgam zatroszczyć się o panią nie gorzej od Ivy Petersa.

Pani Forrester wzięła go pod ramię i pociągnęła na drogę. -- Ależ mój drogi chłopcze, zupełnie nie znasz się na handlowych kruczkach. Nie masz tego sprytu co on -- i właśnie za to cię lubię. Wcale nie kocham tych, co oszukują Indian. Naprawdę nie! -- I gwałtownie potrząsnęła głową.

-- Proszę pani, nie tylko niegodziwość popłaca w interesach...

-- Ale przynosi najszybsze zyski -- wyszeptwała z roztargnieniem. Doszli do końca drogi i zawrócili. Mocniej ścisnęła jego ramię. -- Widzisz -- rzekła nagle -- jeszcze dwa, trzy lata i będę mogła wrócić do Kalifornii -- i znowu żyć. Lecz potem... Być może ludzie sądzą, że

[osiadłam tutaj, żeby się z wdziękiem zestarzeć, ale to nieprawda. Czuję w sobie tyle siły, Niel!.., -- Smukłe jej palce chwyciły jego przegub. ■-- Pragnienie życia rośnie we mnie właśnie dlatego, że jest tak tłumione. Zeszłej zimy spędziłam trzy tygodnie u Dalzellów w Glenwood ISprings (zawdzięczam to właśnie Ivy Petersom wi, przypilnował tu wszystkiego, a jego siostra zajęła się gospodarstwem dla pana Forrestera) i sama się sobie dziwiłam. Tańczyłam całe noce bez najmniejszego zmęczenia. Potrafiłam dzień spędzić na koniu, a wieczór -- na zabawie. Oczywiście brakowało mi odpowiednich strojów; stare suknie wieczorowe -- całe metry satyny i aksamitu -- przerobiła mi krawcowa pani Dalzell i jakoś tam było. Wyglądałam wcale nieźle! Tak, z pewnością. Wiem zawsze, kiedy dobrze wyglądam, i wyglądałam zupełnie dobrze. Panowie tak uważali. Wyglądałam na szczęśliwszą od innych kobiet. A prawie wszystkie były młodsze, i to dużo. Tylko dziwnie szare, śmiertelnie znudzone. Po dwóch kieliszkach szampana zasypiały, nie miały nic do powiedzenia. A ja już po pierwszym kieliszku lepiej wyglądałam -- dodaje mi kolorów -- jedyna rzecz, która tak działa. Przyjęłam zaproszenie Dalzellów celowo: żeby się przekonać, czy jest we mnie jeszcze coś, co warto oszczędzać. I na pewno jest, mówię ci, Niel! Nie uwierzyłybyś, ja też nie wierzyłam, ale jest!

Doszli do mostu -- nagiej białej posadzki

w świetle księżycy. Pani Forrester wciąż przyspieszała kroku

-- I właśnie o to walczę, o to, by wydostać się z tej dziury -- potoczyła wzrokiem dokoła, jakby się znajdowała na dnie studni. -- Wydostać się stąd! Kiedy całymi miesiącami jestem sama, to układam plany i marzę. Gdyby nie to...

Niel wrócił do swego pokoju za kantorkiem pełen niepokoju i troski o panią Forrester. Kiedy kobiety zaczynają twierdzić, że wciąż się czują młodo, czyż nie znaczy to, że coś się w nich załamało? Powiedziała -- dwa albo trzy lata. Zadrżał. Właśnie wczoraj doktor Dennison z dumą oświadczył, że kapitan Forrester może jeszcze przeżyć kilkanaście lat. -- Jego stan ogólny jest niezwykle dobry, to człowiek obdarzony przez naturę żelaznym zdrowiem.

Jakaż więc istniała dla niej nadzieja? Wciąż jeszcze czuł na swym ramieniu uścisk jej ręki, gdy popędzała go na drodze coraz szybciej i szybciej.

Rozdział 4

Przez kilka tygodni panowała susza i wielkie upały, aż wreszcie w końcu czerwca dolinę Sweet Water nawiedziły ulewne deszcze i burze. Rzeka wystąpiła z brzegów. Strumienie wezbrały i ściernisko na pszenicznych polach Ivy Petersa leżało pod wodą. Szeroko rozlane jezioro i dwa rwące potoki dzieliły teraz dom Forrester-

Hrów od miasta. Ben Keezer jeździł do nich co | dzień wykonywać swoje obowiązki i przywoził korespondencję. Pewnego wieczoru Ben, w nieprzemakalnym płaszczu i fc workiem na listy, wyszedł z poczty i zamierzał wsiąść na konia, gdy zatrzymał go Niel Herbert pytając przyciszonym głosem, czy ma gazetę z Denver.

-- Pewnie że mam. Czekam zawsze, aż przywiozą. Ona lubi poczytać wieczorem. Samotnie jest tam, na górze. -- Skoczył w siodło i pognął po błocie. Niel powolnym krokiem udał się do hotelu na obiad. Znalazł był coś bardzo niepokojącego w gazecie z Denver: w kronice towarzyskiej fotografię Franka Ellingera i Konstancji Ogden. Wzięli ślub poprzedniego dnia w Colorado Springs i zatrzymali się w hotelu „Pod Jelenimi Rogami”.

Po kolacji Niel włożył gumowe buty i wybrał się do Forresterów. Gdy dotarł do pierwszej rzeki, stwierdził, że most dla pieszych zniósł leżał na środku rzeki wystawiony na uderzenia zmętniałych nurtów i woda w każdej chwili mogła ponieść go dalej. Dałoby się przebyć rzekę w bród, lecz tylko na koniu. Rozejrzał się niepewnie po zalanych terenach. Dom na wzgórzu stał ciemny, w oknach salonu nie było światła. Deszcz znów się rozpadał. Kto wie, może pani Forrester woli być sama w ten wieczór.

Wrócił do kancelarii, spróbował jakoś się urządzić, choć panował tam nieład nie do opisania. Z powodu przewlekłych deszczów do pokoju zaczęły spływać przez komin potoki wody, czarnej od sadzy, zalewając piec i piękny niegdyś dywan sędziego, przywieziony z Brukseli. Blacharz siedział tam całe popołudnie badając stan przewodu w kominie; wyciął z blachy nowy szyber. Lecz poszedł sobie o szóstej i zostawił na podłodze narzędzia i kawałki blachy. W pokojach było wilgotno i zimno. Niel nie mogąc ogrzać się przy piecu wciągnął na siebie gruby sweter, zapalił dużą naftową lampę i usiadł nad książką. Gdy w pewnej chwili spojrzął na zegarek, dochodziła północ -^ - czytał trzy godziny. Postanowił wypalić jeszcze jedną fajkę przed pójściem do łóżka. Ledwie się do niej zabrał, gdy usłyszał na schodach szybkie kroki. Natychmiast podszedł do drzwi i otworzył je, zanim pani Forrester zdążyła zapukać. Chwycił ją za ramiona i wciągnął do środka.

Wszystko z wyjątkiem jej białej, mokrej twarzy schowane było pod czarnym nieprzemakalnym kapeluszem i płaszczem, o wiele dla niej za obszernym. Z płaszcza ściekały strumienie wody, a gdy rozchyliła poły, ujrzał, że przemokła aż do pasa -- czarna suknia przylegała do ciała opryskana błotem.

-- To niemożliwe, żeby pani przeszła przez rzekę! Woda na brodzie sięga koniowi po brzuch!...

-- Przeszłam po zwalonym moście... po tym, co z niego zostało. Trząśnięcie przede mną, ale ja niewiele ważyłam. -- Zrzuciła z głowy kapelusz i otarła twarz rękami.

-- Ben mógł przewieźć panią na koniu, czemu go pani nie poprosiła? Proszę, proszę to wypić...

Odsunęła jego rękę. -- Czekaj. Potem. Ben? Przyszło mi to do głowy dopiero po jego odejściu. Daj telefon... Chcę zamiejscową... Połącz mnie z Colorado Springs... „Pod Jelenimi Rogami”... szybko!!!

Poprzez zapach gumy, błota i wilgotnego ubrania Niel poczuł bijący od pani Forrester alkohol. Chwyciła telefon, który stał na biurku, lecz Niel delikatnie wyjął go z jej rąk.

-- Załatwię to. Ale jest pani zadyszana, czy może pani rozmawiać w tym stanie? Czy konie-; cznie dziś? Zdaje sobie pani sprawę, że każde słowo będzie słyszane przez panią Beasley. --| Pani Beasley pracowała w miejscowej centrali telefonicznej, osobą niestrudzona w przekazy-;; waniu do" publicznej wiadomości wszystkich podsłuchanych rozmów.

Pani Forrester siedząc przy biurku w krześle sędziego niecierpliwie tupiła czubkiem gumowego buta w dywan.

-- Pospiesz się, proszę --- powiedziała swym uprzejmym, ostrzegawczym tonem, którego bał się nawet Ivy Peters.

Niel zbudził śpiącą centralę i zamówił rozmowę. -- Z kim pani chce mówić? -- spytał panią Forrester.

- -- Z Frankiem Ellingerem. Powiedz, że kancelaria sędziego Pommeroya chce z nim mówić.

Niel zaczął tłumaczyć pani Beasley: -- Nie, nie dyrekcję hotelu, proszę pani, tylko jednego z gości... Frank Ellinger -- powiedział imię i nazwisko po literze. -- Tak, kancelaria sędziego Pommeroya chce z nim mówić. Czekam przy telefonie. Jak najprędzej, proszę.

Odłożył słuchawkę. -- Wie pani, że gdybym miał coś podać do wiadomości publicznej, to wybrałbym raczej gazetę niż pośrednictwo pani Beasley. -- Pani Forrester nie zwracała na niego uwagi, nie patrzyła w jego stronę, wzrok utkwiała w ścianie. -- Nie rozumiem, dlaczego pani nie dała znać przez telefon; mogłem panią przewieźć przez rzekę na koniu, gdy doszła pani do wniosku, że pragnie uzyskać zamiejscowe połączenie dziś w nocy.

- -- Tak, nie pomyślałam o tym. Wiedziałałam tylko jedno: muszę się tu dostać, i bałam się, żeby mi coś w tym nie przeszkodziło. -- Patrzyła na telefon jak na żywe stworzenie. Jej zmrużone oczy zamieniły się w dwa nieruchome punkty. Ściągnięte brwi drżały z wysiłku -- tak czasem ludzie pokonani przez alkohol albo zmęczenie całą siłą woli starają się zachować przytomność w jakimś celu. Sine wargi i czarne kręgi pod oczami nadawały jej wygląd osoby będącej pod działaniem trucizny.

Czekali bardzo długo. Niel domyślił się, że pani Forrester życzy sobie, żeby nic nie mówił. Umysł jej zdawał się walczyć z czymś, co jawiło się oczom wciąż od nowa, przy każdym mrugnięciu powiek. W końcu wstała nie wytrzymując przedłużającego się napięcia. Podeszła do okna i oparła czoło o szybę.

-- Czy kapitan został sam? -- spytał nagle Niel.

-- Tak. Nic mu się tam nie stanie. Tam się nigdy nic nie dzieje -- odparła z rozpaczą załamując ręce.

Telefon zadzwonił. Pani Forrester podbiegła do biurka, lecz Niel zatrzymał ją prawą ręką, do lewej biorąc słuchawkę. -- Niech pani postara się zachować spokój. Kiedy przyjdzie Frank Ellinger, oddam pani słuchawkę -- i proszę pamiętać, że centrala usłyszy każde pani słowo.

Po krótkiej wymianie zdań z recepcją hotelu w Colorado wskazał pani Forrester krzesło.

-- Proszę usiąść, zaraz dam pani słuchawkę. On jest na linii. -- Nie miał odwagi zostawić jej samej, jakkolwiek dziwnie mu było zostać i słuchać rozmowy. Podszedł do okna i stanął odwrócony plecami do biurka, przy którym siedziała.

-- Czy to ty, Franku? Tu Marianna. Nie zabiorę ci dużo czasu. Spałeś już? Tak wcześnie? Zupełnie do ciebie niepodobne. Już się nawróciłeś! Czego też nie robi małżeństwo, jak mówią ludzie. Nie, wcale nie byłam zaskoczona. Ale mogłeś mi powiedzieć. Czy nie zasłużyłam na to?...

Długa pauza. Niel z głupią miną wyglądał przez okno. Nastawił się na dzikie wyrzuty. Głos, który słyszał za plecami, był jej najbardziej czarującym głosem: żartobliwy, pełen uczucia, poufały, z odcieniem przyjemnego podniecenia, które łagodziło nieco formalny ton i wibrowało w banalnych słowach jak barwa w opalu. Powstrzymał oddech, gdy plotła dalej: -- Dokąd pojedziecie na miodowy miesiąc? O, przykro mi! Tak wcześnie... Musisz na nią bardzo uważać. Pozdrów ją serdecznie ode mnie... Oczywiście, o tej porze roku Kalifornia to bardzo dobre miejsce...

Mówiła w ten sposób przez parę minut. Głos jej był, zdaniem Niela, głosem kobiety młodej, pięknej, szczęśliwej -- kobiety, która siedzi wygodnie w ciepłym pokoju i w burzliwy wieczór ma ochotę pogawędzić z drogim przyjacielem, przebywającym daleko.

-- O, czuję się świetnie. Możesz wstąpić i przekonać się na własne oczy. Będziesz jechał do Omaha w interesach w przyszłym tygodniu, jeszcze przed Kalifornią. O tak, na pewno będziesz. Możesz zostać od pociągu do pociągu. Wiesz, że jesteś zawsze mile widziany...

Nastąpiła długa pauza. Okrzyk pani Forrester kazał chłopcu gwałtownie odwrócić się od okna. Zaczęło się! Głos jej ciemniał z każdym słowem.

-- Myślę, że cię rozumiem. Mówisz nie z własnego pokoju? Z kabiny? W takim razie rozumiem cię doskonale! -- Niel przerażony rozejrzał się bezradnie. Trzeba jej przerwać, ale jak? Głos ciągnął dalej: -- Dla bezpieczeństwa? Musisz uważać? A kiedy ty na cokolwiek uważałeś? Wiesz, Franku, że w gruncie rzeczy tchórz z ciebie, wielki, ponury tchórz. Czy słyszysz mnie? Chcę, żebyś mnie wysłuchał!... Wyobrażam so-

bie, żeś nareszcie złapał coś pewnego, kasek pewny, choć trochę mdły! Ile pieniędzy zagarnąłeś przy tej okazji? Niemało, mam nadzieję! A teraz powiem ci prawdę: wcale nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał... Nigdy, rozumiesz?! Nie chcę cię widzieć do końca życia i zabraniam przyjeżdżać! tu, kiedy umrę. Nie chcę, żeby twoje podłe oczy patrzyły na moją twarz, gdy będę leżała w trumnie, nie. Słyszysz? Dlaczego mi nie odpowiadasz? Nie śmieję odkładać słuchawki, ty tchórze! O, ty wielki... Frank, Frank, powiedz coś! Och, przerwał rozmowę, nie słyszę go!

Rzuciła słuchawkę na widełki, opuściła głowę na biurko i wybuchnęła głośnym, jęczącym szlochem. Niel stał nad nią i spokojnie czekał, Tym razem zdążył na czas: uratował ją. W chwili gdy głębsz jej zabrzmiął namiętnością, nienawiścią, poczuciem krzywdy, Niel chwycił wielkie nożyce zostawione przez blacharza i przeciął drut telefonu ukryty za biurkiem. Jej wyrzuty nie wyszły poza kancelarię sędziego..

Gdy przestała łkać, dotknął jej ramienia. Potrzęsął nią -- nie odpowiedziała. Spała pogrążona w ciężkim pijackim śnie. Jej twarz i ręce były tak zimne, że w całym jej ciele -- pomyślał -- nie ma pewnie ani kropli ciepłej krwi. Zaniósł śpiącą do swego pokoju, rozciął przemoczone ubranie, owinął ją swoim szlafrokiem i położył do łóżka. Była zupełnie nieprzytomna. Zgasił światło, zamknął drzwi na klucz i wyszedł, by udać się jak najprędzej do domu

sędziego. Zbudził wuja i w krótkich słowach wyjaśnił sytuację.

-- Czy możesz ubrać się i pójść do kancelarii? Ktoś musi być przy niej. A ja natychmiast spieszę do kapitana; z całą pewnością nie powinien być sam. Jeśli pani Forrester mogła przejść po moście, to i ja potrafię. Jeszcze jedno: zaczęła mówić dziwne rzeczy, więc przeciąłem drut teleferfisu za twoim biurkiem. Pamiętaj o tym. Mogą być z tym kłopoty w taką burzliwą noc jak dziś. Rano wezmę powóz i odwiozę panią Forrester, zanim się miasto zbudzi.

O świcie Niel wszedł do pokoju kapitana i powiedział, że żona jego została w nocy wezwana do telefonu i że zaraz przywiezie ją do domu.

Kapitan leżał oparty na trzech dużych poduszkach. Odkąd twarz mu utyla i rysy rozlały się, wyraz surowości zamienił się w niemal azjatycką gładkość. Wyglądał jak stary mandaryn, gdy leżąc słuchał ze spokojem niewiarygodnej historii. -- Dziękuję ci, Niel -- powiedział nie mrugnawszy okiem -- dziękuję ci.

Gdy Niel szedł przez śpiące miasto do wozowni, ujrzał niską, otyłą postać pani Beasley, która w niebieskim kimonie przypominała zaszyty w płótno pudding; dreptała jak kaczką wśród grządek pierzastych szparagów za budynkiem poczty. Zdążyła już odwiedzić najbliższą sąsiadkę, Molly Tucker, szwaczkę, i opowiedzieć jej podniecającą historię ostatniej nocy.

Rozdział 5

Wkrótce potem kapitan Forrester miał drugi atak apopleksji; kara, którą Bóg zesłał na jego żonę -- orzekły bez dyskusji pani Beasley wraz z panią Molly Tucker i przyjaciółkami. Trudno było o okrutniejszy wyrok. Ciężar opieki nad chorym, gdy stał się zupełnie bezradny, zniszczył panią Forrester do reszty.

Nawet gdy zaczęły się na nich sypać nieszczęścia, pani Forrester zachowywała dawną powściągliwość. Nie prosiła o nic i niczego nie przyjmowała. Jej zachowanie wobec ludzi z miasta było zawsze takie samo: swobodne, serdeczne i z dystansem. Bliscy przyjaciele już dawno się odsunęli -- wszyscy z wyjątkiem sędziego Pommeroy a i doktora Dennisona. Gdy panie z miasta przychodziły w odwiedziny, przyjmowała je w salonie gawędząc z beztroskim, nieprzeniknionym uśmiechem -- i na tym koniec. Czuły nadal wszystkie, że idąc do Forresterów należy włożyć najlepszą suknię i zabrać ze sobą pudełko z kartami.

Lecz teraz kapitan potrzebował pomocy i wszystko się zmieniło. Pani Forrester nie mogła już obronić się przed ludzką ciekawością. Przynoszono z miasta supę i deser dla inwalidy. Gdy zgłoszono gotowość siedzenia przy nim w nocy -- otworzyła dom dla wszystkich. Czuła się wyczerpana; tak wyczerpana, że było jej obojętne, co się dzieje dokoła. Wszystkie panie Beasley i wszystkie Molly Tucker doczekały się

118

wreszcie. Wchodziły i wychodziły z kuchni pani Forrester jak z własnej. Szperały w szafach pełnych prześcieradeł, myszkowały na strychu i w piwnicy. Kręciły się po całym domu jak mrówki, po domu, w którym dawniej wolno im było znać tylko salon; stwierdziły, że oszukiwano je przez wszystkie lata. Nic tam nie było nad- z wy czaj nogo I Kuchnia niewygodna, zlew cuch- nąjjr, Dywany poniszczone, zasłony wypłowiałe, meble ciężkie i niezgrabne, nie chciałyby ich nawet za darmo, a sypialnie na piętrze pełne kurzu i pajęczyny.

Sędzia Pommeroy powiedział do siostrzeńca, że nigdy nie widział tych kobiet tak czujnych* tak ważnych i zadowolonych z siebie jak teraz, gdy mogły się kręcić w domu Forresterów bezustannie. Choroba kapitana wpłynęła na ożywienie atmosfery jak nowy klub czy towarzystwo kościelne. Damy stawały się coraz zuchwalsze, a pani Forrester najwidoczniej nie miała sił, by im się oprzeć. Snęła się po kuchni, spała na wpół ubrana w jednym z pokojów na piętrze, żyła głównie kawą i koniakiem. Runęły wszystkie bariery. Przestała dbać o cokolwiek.

Niel słyszał niekiedy na ścieżce urywki rozmów przychodzących albo wychodzących pań.

--■ Dlaczego nie sprzeda trochę srebra? Pochowała talerze i półmiski z pokrywami.

Przecież to wszystko takie stare!

-- Chciałabym mieć trochę takiej bielizny. Na górze jest szafa pełna adamaszkowych obrusów, każdy podwójnej wielkości, z jednego mo

ll 9

Iżna by zrobić dwa. A widziałaś kiedy takie kieliszki do wina? Założę się, że jest ich w tym domu więcej niż w obydwóch barach w mieście. Kiedy będzie się wyprzedawać po śmierci męża, kupię tuzin kieliszków do szampana; nadają się do podawania sorbetu.

-- Wszystkiego razem jest dziewięć tuzinów, licząc szklanki do piwa i whisky. Jeśli będzie wyprzedaż, myślę zafundować sobie dwa zielone kieliszki na wysokiej nóżce, postawię na kominku. Ale nigdy wszystkiego nie sprzeda, chyba że wezmą do baru.

Matka Eda Elliota roześmiała się. -- Nie sprzeda, jak długo będzie co do nich nalać.

-- Pewnego dnia piwnica opustoszeje.

-- Według mnie zawsze 6ię ktoś znajdzie, co się o taką zatroszczy. Ile razy tam jestem, zalatuje od niej alkoholem. Wpadłam niedawno wieczorem i co widzę, szoruje na kolanach podłogę w kuchni. Oczy miała jak ze szkła. Szorowała koło lodówki raz za razem, aż mi się dziwnie zrobiło. „Pani Forrester -- mówię do niej -- coś mi się zdaje, że już pani to miejsce szorowała dobrych kilka razy”.

-- No i co? Zawstydziała się?

-- Ale gdzie tam! Ani trochę. Zaśmiała się i powiedziała, że często jest roztargniona.

Towarzyszka pani Elliot też się roześmiała i przyznała, że to nawet jest dobre wyrażenie: „roztargniona”.

Niel powtórzył tę rozmowę sędziemu. -- Wuju -- oświadczył -- jest dla mnie rzeczą nie możliwą wrócić w tej sytuacji do Bostonu. Chciałbym przerwać studia na rok i zająć się Forresterami. Przenieść się tam i położyć kres wszystkim plotkom. Czy mógłbyś pomieszkać przez parę tygodni w hotelu i odstąpić mi Czarnego Toma? Z jego pomocą wyrzucę za drzwi te baby.

Tak się też stało, szybko i po cichu. Tom zainstalował się w kuchni, a Niel osobiście przejął obowiązki pielęgniarki. Potraktował kobiety stanowczo: bardzo to było miłe z ich strony, lecz są już niepotrzebne. Doktor powiedział, że w domu musi być cicho i że chory nie powinien nikogo widzieć.

Gdy w domu zapanował spokój, pani Forrester położyła się i spała prawie tydzień. Kapitan ogromnie się poprawił. W lepsze dni można go było sadzać w fotelu na kółkach i wywozić do ogrodu, by nacieszył się wrześnieowym słońcem i ostatnimi kwiatami dzikiej róży.

-- Dziękuję ci, Niel, dziękuję ci, Tom -- powtarzał często, gdy sadzali go w krześle. -- Bardzo sobie cenię tę ciszę. -- Gdy czasem uważali, że nie powinien siedzieć na powietrzu, kapitan był w takie dni smutny i zawiedziony.

-- Lepiej wynosić go, mimo wszystko -- mówiła pani Forrester. -- Lubi patrzeć na swoją posiadłość. To i fajka to jego jedyne przyjemności.

Gdy wypoczęła i przyszła do siebie, podjęła swe obowiązki w kuchni i Czarny Tom powrócił do sędziego.

Nocami, kiedy był sam, kiedy pani Forrester Judawała się na spoczynek, a kapitan leżał spokojnie, Niel czuwając przy chorym doznawał uczucia wzniosłego szczęścia. Ciężko mu było zrezygnować z roku studiów -- większość kolegów była młodsza od niego. Decyzja ta kosztowała go niemało, lecz był bardzo zadowolony, że ją podjął. Spędzał nocne godziny najpierw w jednym krześle, potem w drugim, czytając, paląc, pojadając, by nie zasnąć. I odczuwał zadowolenie, które jest udziałem tych, co dochowują wierności. Chętnie przebywał sam na sam z przedmiotami, które wydawały mu się takie piękne, gdy był dzieckiem. Krzesła wciąż były najwygodniejsze ze wszystkich krzeseł na świecie i na pewno nigdy żaden obraz nie będzie mu się tak podobał jak Kaplica Wilhelma Telia i Dom tragicznego poety. Nigdzie tak wygodnie nie rozkłada się pasjansa jak na starym stoliku o marmurowym blacie, z mozaiką w kształcie szachownicy, który jeden z przyjaciół przywiózł kapitanowi z Neapolu. Żaden inny dom nie odegra w jego życiu takiej roli jak dom Forresterów.

Miał czas na rozmyślania o wielu rzeczach: o sobie i o parze swych starych przyjaciół. Zauważył, że gdy pani Forrester zajęta była swoją pracą, kapitan często wołał do niej: -- Dziecino, dziecino -- ona zaś odpowiadała: -- Tak, panie Forrester -- nie podchodząc, jakby wiedziała, że woła do niej takim tonem nie dlatego, by czegoś potrzebował. Może chciał się upewnić, że jest w pobliżu; a może po prostu lubił wymawiać jej imię i słyszeć jej głos w odpowiedzi. Im dłużej Niel przebywał z kapitanem Forresterem w owych ostatnich, pełnych spokoju dniach jego życia, tym mocniej czuł, że kapitan znał swą żonę lepiej, niż ona samą siebie znała; i że znając -- by użyć jego własnego wyrażenia -- cenił ją wysoko.

Rozdział 6

Wzmiankę o śmierci kapitana Forrestera, która nastąpiła na początku grudnia, zamieszczono w „Wiadomościach telegraficznych”. Była to jedyna od dłuższego czasu wiadomość ze Sweet Water, jaką ta podupadła miejscina mogła zainteresować szerszy ogół. Ze wschodu i zachodu nadeszły depesze i kwiaty, lecz tak się złożyło, że z najbliższych przyjaciół kapitana żaden nie mógł przybyć na pogrzeb. Pan Dalzell przebywał w Kalifornii, prezes zarządu linii kolejowej Burlington bawił w Europie. Inni byli daleko albo niepewni swego zdrowia. Wśród tych, co ponieśli trumnę, tylko sędzia i doktor należeli do bliskich przyjaciół zmarłego.

Rankiem w dzień pogrzebu, gdy kapitan leżał już w trumnie, a przedsiębiorca pogrzebowy ustawiał w salonie krzesła, Niel usłyszał pukanie do drzwi kuchennych. Stał tam Adolf Blum | dużym białym pudłem.

-- Niel -- powiedział -- czy mogę cię prosić,

żebyś dał to pani Forrester i powiedział, że to od Rheina i ode mnie dla kapitana, dobrze? Adolf był w starym roboczym ubraniu, jedy*; nym prawdopodobnie, jakie posiadał, szyję miał owiniętą włóczkowym szalem. Niel wiedząc, że chłopiec nie będzie na pogrzebie, rzekł --- Może wejdiesz i spojrzysz na kapitana? Wygląda jak żywy.

Adolf zawahał się, lecz gdy przez okno w salonie dostrzegł przedsiębiorcę pogrzebowego powiedział: Nie, dziękuję ci, Niel. -- Wcisnął czerwone ręce do kieszeni kurtki i odszedł. Niel wyjął kwiaty z pudełka -- ogromną wiązkę żółtych róż, która musiała kosztować wiele upolowanych królików. Zaniósł kwiaty na górę, gdyż pani Forrester poszła się położyć.

-- To od chłopców Bluma -- powiedział. -- Adolf przyniósł do kuchni.

Pani Forrester spojrzała na wiązkę, potem odwróciła głowę do poduszki. Wargi jej zdrząły. Jeden jedyny raz tego dnia straciła na chwilę panowanie nad sobą.

Był to wielki pogrzeb. Ze wszystkich stron przybyli starzy osadnicy i tłum farmerów, by odprowadzić do grobu zwłoki pioniera. Gdy sędzia i jego siostrzeniec odwozili z cmentarza panią Forrester, odezwała się po raz pierwszy od chwili opuszczenia domu.

-- Chciałabym, panie sędzio -- rzekła cichym głosem -- przenieść słoneczny zegar pana Forrestera na jego grób. Można wyryć napis na granitowej podstawie. Nadaje się do tego celu lepiej od każdego innego kamienia, jaki moglibyśmy kupić. A dookoła posadzę jego róże.

Gdy wrócili do domu, była godzina czwarta i pani Forrester uparła się, żeby zrobić im herbaty. -- Chętnie napiję się z wami i lepiej będzie, jeśli się czymś zajmę. Poczekajcie w salonie. A ty, Niel, proszę, ustaw wszystko z powrotem na miejsce, po staremu.

Szary dzień ciemniał i gdy wszyscy troje siedzieli we wnęce szerokiego okna przy herbacie, rozpętała się śnieżycą nad łąkami, leżącymi między wzgórzem i miastem, a gałęzie ogromnych topoli za domem trzeszcząc na wietrze zdawały się mówić, że nadeszła zima.

Rozdział 7

Pewnego kwietniowego poranka Niel siedział sam w kancelarii. Wuj chorował od dłuższego czasu na reumatyzm i Niel zastępował go w codziennych zajęciach.

Drzwi się otwały i stanęła w nich postać obca, a jednak dziwnie znajoma -- musiał się chwilę zastanowić, zanim rozpoznał w przybyłym Orvilla Ogdena, który niegdyś często przyjeżdżał do Sweet Water, lecz nie był tu już od kilkunastu lat. Nie postarzał się ani o jeden dzień: jedno oko patrzyło prosto i jasno, jak zwykle, drugie było zamglone i krzywe. Nosił nadal sztywną bródkę „imperial” i podkręcony

wąs, który miał kolor szarego ze starości wosku; zaczesane z fantazją włosy zakrywały łysinę.

-- Mam przyjemność z siostrzeńcem sędziego/ Pommeroya, o ile się nie mylę? Nie mogę sobie przypomnieć twego imienia, chłopcze, ale pamiętam cię. Czy sędzia wyszedł?

-- Proszę -- niech pan raczy usiąść. Wuj jest *chory. Nie był w kancelarii już parę miesięcy. Czuje się naprawdę kiepsko. Czym mogę panu służyć?

-- O, jakaż to przykra wiadomość. Doprawdy "bardzo przykra -- rzekł z przekonującą szczerością. -- Wszyscy się starzejemy, czy to się nam podoba, czy nie. Śmierć Daniela Forrestera była bardzo smutnym wydarzeniem.

Pan Ogden zdjął płaszcz, kapelusz i rękawiczki położył starannie na biurku i zawahał się, nie wiedząc od czego zacząć.

-- Co jest sędziemu? -- spytał nagle.

Niel opowiedział dokładnie. -- Miałem wrócić na studia tej zimy, lecz wuj prosił mnie, bym został i wyreczył go w kancelarii. Nie chciał powierzyć swych spraw nikomu innemu. Ifgli Rozumiem, rozumiem -- rzekł pan Ogden powoli. -- A więc prowadzisz w zastępstwie sprawy jego klientów? -- Zamilkł i namyślał się chwilę. -- Tak, jest pewna sprawa, którą chciałem z nim omówić. Zatrzymałem się tutaj tylko na parę godzin, od pociągu do pociągu. Mógłbym właściwie pogadać o tym z tobą, naradzisz się później z wujem i napiszesz mi do HH

Chicago. Sprawa jest poufna i dotyczy osoby trzeciej.

Niel zapewnił go o swej dyskrecji, lecz pan Ogden nie wiedział, jak rzecz wyłożyć. Wyraz twarzy miał bardzo poważny, bez pośpiechu zapalił cygaro.

-- Jest to po prostu -- zaczął wreszcie -- delikatna sugestia, którą chciałbym podsunąć twemu wujowi w interesie jego klientki. Mam w tej chwili trochę przyjaciół w rządzie, w Waszyngtonie, przyjaciół, którzy na głowie staną, by oddać mi przysługę. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się postarać o podwyżkę renty dla pani Forrester. Muszę być w Chicago w tym tygodniu i po załatwieniu własnych spraw gotów byłbym udać się do Waszyngtonu, by zobaczyć, co można zrobić; pod warunkiem, rzecz jasna, że nikt absolutnie, a już przede wszystkim klientka twego wuja, nie dowie się o mych poczynaniach.

Niel zarumienił się. -- Przykro mi -- wyznał --- lecz pani Forrester nie jest już klientką mego wuja. Po śmierci kapitana uznała za stosowne wycofać swoje sprawy od nas, proszę pana.

--- Co takiego? Sędzia Pommeroy nie jest już jej prawnym doradcą? Jak to, przez dwadzieścia lat...

-- Wiem o tym, proszę pana. Nie okazała mu za dużo względów. Wycofała się dość niespodziewanie.

-- Do kogo, jeśli wolno spytać?

-- Do pewnego prawnika w tym mieście. Nazywa się Ivy Peters.

-- Peters? Nigdy o nim nie słyszałem.

-- Nie mógł pan o nim słyszeć. Nie należy do ludzi, którzy bywali w domu Forresterów w dawnych czasach. Należy do młodej generacji, jest parę lat starszy ode mnie. Wydzierżawił część gruntów przed kilku laty, jeszcze przed śmiercią kapitana był ich dzierżawcą. W ten sposób pani Forrester poznała tego człowieka. Uważa, że jest bardzo zręczny w interesach. Pan Ogden zmarszczył czoło. -- A czy jest takim naprawdę?

-- Niektórzy tak uważają.

-- Czy budzi zaufanie?

-- Na pewno nie. Bierze sprawy, których nikt inny by nie dotknął. Panią Forrester może jednak potraktować uczciwie. Lecz jeśli nawet, to raczej wbrew swym zasadom.

-- To bardzo przykra wiadomość. Wracaj do pracy, chłopcze. Muszę to wszystko przemyśleć. -- Pan Ogden wstał i zaczął chodzić po pokoju z rękami założonymi do tyłu. Niel, by gościowi nie przeszkadzać, wrócił do pisania listu leżącego na biurku.

Pan Ogden znalazł się istotnie w trudnej sytuacji. Oddany był pani Forrester i zanim Konstancja uparła się, żeby wyjść za Franka Ellingera, zanim matka z córką zaczęły polowanie na narzeczonego, pan Ogden odwiedzał Forresterów częściej od innych przyjaciół z Denver. Przestał bywać od czasu owych świąt Bożego Narodzenia, kiedy zaproszono jego z rodziną i Franka Ellingera. Wkrótce potem musiał zauważyć -- Niel tak sądził -- do czego zmierzały jego kobiety; pochwalając to czy nie doszedł pewnie do wniosku, że najlepiej będzie trzymać się od wszystkiego z daleka. Przestał odwiedzać Forresterów, lecz nie dlatego, że szczęście się od nich odwróciło. Widać było wyraźnie, że jest szczerze przejęty, los pani Forrester leżał mu na sercu.

Niel skończył list i zabierał się do pisania następnego, gdy pan Ogden podszedł do biurka.

--Więc powiadasz -- targnął nerwowo bródkę „imperial” -- że ten młody prawnik jest człowiekiem bez zasad? Czasem łajdacy miewają jakieś czule miejsce, jakieś względy, gdy w grę wchodzi kobieta.

Niel szeroko otworzył oczy. Natychmiast pomyślał o twardych, przeciętych bruzdami policzkach Ivy Petersa.

--Czule miejsce? Względy?... A może przeszedłby się pan do jego kancelarii? Wystarczy panu jedno spojrzenie.

--O, to zbyt cenne. Rozumiem wszystko. -- Wyjrzał przez okno, skąd widać było wierzchołki topoli w lasu Forresterów, i wyszeptał: -- Biedna kobieta! Z takim doradcą! Powinna zasięgać rady u kogoś z przyjaciół Daniela.

Wyjął zegarek i wpatrzył się w tarczę głęboko zamyślony. Pociąg ma za godzinę, oświadczył. Niczego w tej chwili przedsięwziąć nie może. Po kilku minutach opuścił biuro.

Niel wspominając ten moment był przekonany, że pan Ogden radził się swego zegarka z takim wahaniem, ponieważ rozważał możliwość odwiedzenia pani Forrester. Chciał pójść do niej, lecz zrezygnował z tej wizyty. Czyżby* bał się swych kobiet? Czy też był to inny rodzaj strachu, obawa utraty przyjemnych wspomnień! spotkania kobiety niegdyś pięknej, dziś zapewne; zmienionej, brzydszej, lęk przed wszystkim, co może zniszczyć urok przeszłości? Niel słyszał od sędziego, że pan Ogden uwielbia ładne kobiety, chociaż sam ożenił się z brzydką, i że odznacza się swoistą, dyskretną rycerskością. Może gdyby spotkał się z zachętą, byłby poszedł do pani Forrester i pomógł jej skutecznie. Fakt, że Niel niczego w tym kierunku nie zrobił, uświadomił chłopcu, jak bardzo zmieniły się jego własne uczucia dla tej pani.

Zmieniła się przede wszystkim pani Forrester. Od śmierci męża stała się jakby inną kobietą. Niel i jego wuj, państwo Dalzell i wszyscy ich przyjaciele od lat uważali, że kapitan był dla swej żony ciężarem; troska wyniszczyła ją, przygasiła, nie pozwoliła być tym wszystkim, J czym taka kobieta być mogła. Teraz stała się płocha i przewrotna, jakby pozbawiona dawnego poczucia wartości, daru utrzymania dystansu w sposób łatwy i pełen wdzięku.

W czasie choroby i śmierci kapitana Forrestera Ivy Peters przebywał w Wyoming -- przywołany telegraficzną wiadomością, że w najbliższym sąsiedztwie jego terenów odkryto naftę.

Wrócił jednak wkrótce po pogrzebie kapitana i kręcił się po jego posiadłości częściej niż kiedykolwiek. Zimą nie było roboty w polu, więc po pracy w kancelarii bawił się burzeniem starej stodoły. Można go było zastać na ganku palącego cygaro, jakby był właścicielem domu. Często spędzał na wzgórzu wieczory, grał w karty z panią Forrester albo rozmawiał z nią o swych interesach. Nie zrobił jeszcze dużego majątku, lecz był na dobrej drodze. Zabierał czasem przyjaciół, chłopców z miasta, na kolację do pani Forrester. Matki i narzeczone tych chłopców bardzo się tym gorszyły. -- Leci teraz na młodych -- powiedziała matka Eda Elliota. -- Dziecinnieje.

Wreszcie Niel pomówił otwarcie z panią Forrester. Powiedział, że ludzie gadają o zbyt częstych wizytach Ivy Petersa. Słyszał na ten temat komentarze nawet na ulicy.

-- Nie mogę przejmować się ludzkim gadaniem -- odpowiedziała -- ludzie zawsze o mnie mówili i zawsze będą mówić. Pan Peters jest moim doradcą prawnym i dzierżawcą; muszę się z nim widywać, a trudno mi odwiedzać go w kancelarii. Nie mogę siedzieć całymi wieczorami sama i robić na drutach. Gdybyś przychodził do mnie choć trochę częściej, niż przychodzisz, też byłyby plotki. Jesteś młodszy od Petersa -- i przystojniejszy! Nigdy ci to nie przyszło do głowy?

-- Wolałbym, żeby pani ze mną tak nie rozmawiała -- odparł chłodno. -- Dlaczego pani

stąd nie wyjedzie? Do Kalifornii, do ludzi pani | pokroju. Przecież zdaje sobie pani sprawę, że to miasto nie jest dla niej odpowiednim miejscem.

-- Owszem. I zamierzam wyjechać, jak tylko sprzedam majątek. Posiadam tylko ten dom i ziemię; jeśli zostawię ją dzierżawcom, zrujną ją wszystko i nie będę mogła dobrze sprzedać. Dlatego Ivy przychodzi tak często, stara się to utrzymać w dobrym stanie; zburzył starą stodołę, która kłuła w oczy, wylatał nowymi deskami ganek, bo podłoga gniła. Jak przyjdzie lato, pomaluje cały dom. Jeśli nie będę dbała o mój majątek, nigdy nie-dostanę dobrej ceny. Mówiła nerwowo, z nienaturalną powagą, jakby próbując samą siebie przekonać.

-- Ile pani żąda w tej chwili?

-- Dwadzieścia tysięcy dolarów.

-- Nigdy pani tego nie dostanie. W każdym razie nie wcześniej, aż ogólna sytuacja zmieni się na lepsze.

-- Tak właśnie powiedział mi twój wuj. Że nawet nie będzie próbował sprzedać powyżej dwunastu tysięcy. Dlatego byłam zmuszona sprawę oddać w inne ręce. Sędzia nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia czasy się zmieniły. Sam pan Forrester mówił, że to będzie tyle warte. Ivy twierdzi, że mogę dostać dwadzieścia tysięcy, a jeśli nie, to sam weźmie, gdy tylko jego inwestycje zaczną przynosić zyski.

-- A tymczasem marnuje pani życie siedząc w tej dziurze.

-- Odpoczywam po długim okresie napięcia -- próbowała go przekonać nieszczerym tonem. -- I czekając na zmiany znajduję nowych przyjaciół wśród ludzi młodych -- w twoim wieku. Od dawna chciałam coś zrobić dla chłopców w tym mieście, ale miałam ręce pełne roboty. Patrzeć nie mogę, że rosną jak dzicy ludzie, a wystarczy, żeby mieli jakiś kulturalny dom i kobietę, która nimi pokieruje. Nigdy takiej szansy nie mieli. Nie byłbyś takim, jakim jesteś, gdybyś nie pojechał do Bostonu i nie miał przyjaciół, którzy znali lepsze czasy. Przypuśćmy, że byłbyś wyrósł na coś takiego jak Ed Elliot albo Joe Simpson?

-- Pochlebiam sobie, że zawsze byłbym trochę inny, nawet w ich sytuacji. W każdym razie, jeśli pani przemyślała sobie wszystko, rozmowa nasza jest zbędna. Podjąłem ten temat, ponieważ sądziłem, że nie zdaje sobie pani sprawy, jak ludzie w mieście na to patrzą.

-- Wiem doskonale! -- potrząsnęła głową. Oczy jej zabłyśły, lecz nie było w nich wesołości -- raczej rozpaczliwe wyzwanie. -- Wiem: nazywają mnie wesołą wdówką. Nie mam nic przeciwko temu.

Niel opuścił dom bez dalszej dyskusji i od tej chwili nie pokazał się tam, choć minęły już trzy tygodnie. Tymczasem pani Forrester odwiedziła jego wuja. Sędzia był wobec niej grzeczny jak zawsze, lecz głęboko dotknięty zdradą, nie potrafił wskrzesić w sobie już nigdy uczucia troskliwości dla tej kobiety. Prowadził wszyst-

kie interesy kapitana Forrestera przez dwadzieścia lat i po upadku banku w Denver nie ściągał z powierzonych sobie pieniędzy ani grosza kosztów. Pani Forrester potraktowała go niegodziwie. Nie uprzedziła o swoim postanowieniu. Pewnego dnia Ivy Peters wszedł do jego kancelarii i przedstawił pisemne zlecenie pani Forrester, by przekazać mu wszystkie pieniądze i papiery wartościowe wraz z odpowiednim rozliczeniem. Od owego dnia nigdy nie poruszyła tej sprawy z sędzią ani z Nielem, wyjąwszy ową rozmowę o sprzedaży posiadłości.

Rozdział 8

Pewnego ranka, gdy ciepły majowy wietrzyk pędził kurz po ulicy, pani Forrester weszła uśmiechnięta do kancelarii sędziego Pommeroya w nowym wiosennym czepeczku i krótkiej pelerynce z czarnego aksamitu, spiętej pod szyją pęczkiem fiołków.

-- Proszę cię, bądź łaskaw zwrócić uwagę na mój nowy strój -- rzekła kokieteryjnie do Niela -- pierwszy od wielu lat.

Powiedział jej, że wygląda ślicznie.

-- A nie cieszysz się, że wreszcie mam coś takiego? -- spytała z uśmiechem przez woalkę. -- Czuję, że dziś nie będziesz na mnie zły i zrobisz, o co cię poproszę. Nic szczególnie kłopotliwego. Chcę, żebyś przyszedł do mnie na kolację w piątek. Jeśli przyjdiesz, będzie nas wszystkich osiem osób, licząc Annie Peters. Wszystko chłopcy, których znasz, i jeśli nawet ich nie lubisz, to powinienes polubić. Tak, powinienes -- kiwnęła głową z powagą -- jeśli liczysz się z tym, co ludzie mówią, Niel, to uważaj, żeby nie nazwali cię snobem. Ponieważ byłeś w Bostonie i widziałeś trochę świata... Nie bądź taki sztywny, taki -- taki wyniosły! Nie do twarzy ci z tym w twoim wieku. -- Ściągnęła brwi naśladowując jego grymas tak dobrze, że musiał się roześmiać. Niemal już zapomniał, z jakim talentem umiała naśladować i przedrzeźniać innych.

-- Na co mogę się pani przydać? Twierdziła pani zawsze, że nie należy zapraszać ludzi, którzy do siebie nie pasują.

-- Potrafisz się dopasować, jeśli zadasz sobie ten trud. A tym razem zrobisz to dla mnie, prawda?

Po jej odejściu Niel zły był na siebie, że dał się przekonać.

W piątek wieczorem przyszedł jako ostatni gość. Po upalnym dniu wieczór był ciepły. Przez otwarte okna woń bzu wnikała do mrocznego salonu, gdzie chłopcy siedzieli w krzesłach jakby trochę dla nich za dużych. W pokoju jadalnym paliła się lampa i stał tam Ivy Peters przy kredensie mieszając cocktaile. Siostra jego Annie pomagała pani domu w kuchni. Pani Forrester wyszła na chwilę przywitać się z Nielem i przeprosiwszy go pospieszyła z powrotem do Annie Peters. Dojrzał przez otwarte drzwi, że na stół

wróciła srebrna zastawa, świeczniki i kwiaty. Ci chłopcy -- pomyślał -- co siedzą w mrocznym salonie, nie dostrzegliby żadnej różnicy, gdyby postawiła na stole fajansowe talerze kupione - w mieście u Wernza. W ich pojęciu naprawdę piękna porcelana musi być „ręcznie malowana” - przez siostrę albo narzeczoną. Każdy z nich siedział z nogą założoną na nogę i kołysał w powietrzu stopą w żółtym buciku, odsłaniając żółtą, jedwabną skarpetkę. Rozmawiali o ubraniach: Joe Simpson, który właśnie odziedziczył po ojcu firmę z męską konfekcją, spieszył poinformować o modzie w nadchodzącym letnim sezonie.

Wszedł Ivy Peters potrząsając shakerem. -- Wy, chłopcy, to jesteście jak dziewczyny, zawsze gadacie tylko o tym, w co się ubrać albo jak wydać pieniądze. Simpson nie prędko się wzbogaci, jeśli będziecie nosić swoje ubrania tak długo jak ja. Powiedz, Joe, kiedy kupiłem ten garnitur?

-- Och, to chyba było w tym roku, kiedy skończyłem szkołę.

Wybuchnęli wszyscy śmiechem. Cokolwiek by powiedział czy zrobił Ivy Peters, zawsze się śmiali -- wyraz uznania dla jego życiowych sukcesów.

Pani Forrester powróciła wachlując się wachlarzem z drzewa sandałowego i na jej wejście chłopcy wstali -- mógłby ktoś powiedzieć, że ze strachu tak nagle zerwali się z krzesel. Przy najmniej tyle udało jej się osiągnąć w ich wychowaniu.

-- Czyś gotów już, Ivy, z cocktailami? Będziesz musiał chwilę poczekać, aż się przypudruję. Gdybym wiedziała, że wieczór będzie tak gorący, to nie robiłabym dla was pieczeni na kolację. Przypiekłam się bardziej niż kaczka w piecu. Ale możesz już nalać gościom. Zaraz wrócę.

Gdy zniknęła w swym pokoju, chłopcy usiedli z równie zdumiewającym pośpiechem. Ivy Peters obniósł tacę dokoła i wszyscy czekali na gospodynię trzymając przed sobą kieliszki. Wrót ciwszy, wzięła Niel za ramię i poprowadziła do stołowego. -- Czy zauważyłeś, jak oni trzymają kieliszki? -- szepnęła do niego. -- Co oni robią z tym delikatnym szkłem, że wygląda tak wulgarnie? Nikt ich nigdy nie uczył, jak to trzymać i jak z tego pić, choćby nawet i herbatę.

Głośno powiedziała: -- Niel, czy zechcesz zapalić świece? I bądź łaskaw usiąść na honorowym miejscu. Czy umiesz podzielić kaczkę?

-- Nie tak dobrze jak... jak mój wuj -- odparł szeptem, ostrożnie nakładając na świecę abażurek.

-- I nie tak jak pan Forrester? Nie żądam tego. Dziś już mężczyźni nie umieją dzielić pieczystego jak dawniej. Ale dasz sobie jakoś radę, prawda? Po twojej prawej stronie usiądzie Annie Peters. Będzie podawać do stołu zamiast mnie. Proszę siadać, panowie -- powiedziała lekko, żartobliwie kłaniając się i potrząsając kolczykami.

Podczas gdy Niel kroił kaczkę, Annie osunęła się na krzesło obok niego, z twarzą zarumienioną od ognia. Była o kilka lat młodsza od brata i słuchała go ślepo w każdej sprawie. Miała wyjątkowo brzydką cerę i foladożółte cienkie włosy z prawie białymi pasmami o odcieniu syropu z melasy. Podczas kolacji nie powiedziała ni słowa z wyjątkiem „dziękuję tak” albo „dziękuję nie”. Zresztą nikt prawie nic nie mówiły oprócz pani Forrester, zanim nie zjedzono pierwszej porcji kaczki. Chłopcy nie nauczyli się jeszcze robić tych dwóch rzeczy jednocześnie. Przerywali jedzenie tylko po to, żeby zapytać panią domu, czy „ma ochotę na galaretkę” albo odpowiedzieć na jej pytania.

Niel przyglądał się pani Forrester w świetle świec, gdy ruchem głowy zachęcała chłopców, próbowała ich „rozkreślić”, śmiała się z ciężkich dowcipów Roya Jonesa albo gratulowała Joe Simpsonowi awansu na samodzielnego przedsiębiorcę. Długie kolczyki kołysały się z dwóch stron jej policzków uróżowanych tuż przed kolacją -- pomyślał Niel -- przez co wcale nie wyglądały lepiej. Róż korzystny jest dla niektórych pań, lecz nie dla niej, a w każdym razie nie tego wieczoru, przy oczach podkrążonych: zmęczeniem. Wyglądała bardzo wymizerowana i zniszczona, jeszcze nigdy jej takiej nie3widział. Westchnął na myśl, ile pracy kosztowało przygotowanie takiej kolacji dla ośmiu osób -- a przecież befszytk z kartoflami lepiej by im smakował! W gruncie rzeczy wcale nie lubili takiego jedzenia. Po co to wszystko? Co odczuje później, powalona na łóżko śmiertelnym zmęczeniem, gdy ci durnie powiedzą jej dobranoc i w żółtych swych butach będą schodzić ze wzgórza?

Nic nie jadła poświęcając całą energię ociężałym chłopcom, by zachęcić ich do mówienia. Niel poczuł, że powinien jej pomóc, a przynajmniej spróbować pomóc. Z determinacją zwracał się do każdego po kolei próbując nawiązać żywą rozmowę: o baseballu, polityce, o skandalach, o zbiorach. Odpowiadali mu monosylabami albo wykrzyknikami. Szybko zdał sobie sprawę, że nie chcieli jego uprzejmych uwag; chcieli więcej kaczki i chcieli zjeść w spokoju.

W każdym razie kolacja wkrótce się skończyła. Usiłowania gospodyni, by ją przedłużyć, były daremne. Sałatę i mrożony pudding zjedzono równie szybko jak pieczone. Goście przeszli do salonu i zapalili cygara.

Pani Forrester wyznawała staroświecki pogląd, że panowie po kolacji powinni zostać sami. Przyłączyła się do nich po półgodzinie. Być może leżała przez ten czas w sypialni na górze, ponieważ wyglądała nieco bardziej wypoczęta. Chłopcy rozgadali się wreszcie, głównie na temat planowanej przez Eda Elliota wycieczki w góry. Udzielali mu rad co do ekwipunku, much na ryby, płynu na mostryty.

-- Powiem wam coś -- odezwała się pani Forrester, przysłuchująca się rozmowie od kilku minut. -- Kiedy wrócę do Kalifornii, postawię

sobie letni domek wysoko w górach i zapraszam wszystkich was, jak tu jesteście. Będziecie musieli pracować na siebie, to jasne -- będziecie . ścinać drzewo na ogień, nosić wodę, myć naczynia i garnki, wyprawiać się po rybę na śniadanie. Ivy może wziąć ze sobą strzelbę, będzie polował dla nas, a ja będę piekła chleb w żelaznym garnku, starym zwyczajem traperów, jeżeli nie zapomniałam, jak się to robi. Przyjedziecie?

-- 7, całą pewnością! Pewnie zna pani te góry na pamięć, spodziewam się -- powiedział Ed Elliot.

Potrząsnęła głową z uśmiechem. -- Na to trzeba by całego życia. Więcej niż jednego życia. Sierras to góry ciągnące się bez końca i naprawdę wspaniałe!

Czy opowiedziała pani chłopcom -- zwrócił się do niej Niel -- jak to się stało, że właśnie w górach poznała pani kapitana? Jeśli nie znają jeszcze tej historii, na pewno z przyjemnością posłuchają.

-- Chcecie usłyszeć? A więc dawno temu, kiedy byłam bardzo młodą dziewczyną, spędzałam z przyjaciółmi mego ojca lato w obozie położonym w górach...

Tak zaczęła swą opowieść, choć w istocie wcale nie był to początek historii; dawno temu Niel słyszał od wuja, że zaczęło się od skandalu i morderstwa. Kiedy Marianna Ormsby miała dziewiętnaście lat, zaręczyła się z Nedom Montgomery, szykownym młodym milionerem ze Złotego Wybrzeża. Na kilka tygodni przed tą ślubu Montgomery został zastrzelony przez męża innej kobiety w hallu pewnego hotelu w San Francisco. Proces sądowy, który się potem rozpoczął, wzbudził sensację i Mariannę szybko wywieziono w góry, by schować ją przed oczami ciekawych, póki sprawa nie ucichnie.

Tego wieczoru pani Forrester rozpoczęła słowami: „Dawno temu...” Usiadła w rogu dużej kanapy, oparła stopy na stołeczku i z głową ukrytą w cieniu wachlowała powietrze przed twarzą wachlarzem z sandałowego drzewa, a na jej białych palcach lśniły pierścionki. Mówiła o tym, jak kapitan Forrester, wdowiec w owym czasie, przybył do obozu, by odwiedzić współnika jej ojca. Nie zwracała na kapitana większej uwagi -- co dzień szła w góry w towarzystwie młodych ludzi. Pewnego popołudnia namówiła młodego Freda Harneza, zapalonego amatora, wspinaczki, by sprowadził ją ze ściany Orlej Skały. Byli już prawie na dole, przelazili przez wystającą ławkę skalną, gdy lina urwała się i oboje spadli. Harnez upadł na skały i zabił się na miejscu, dziewczyna trafiła na sosnę, która złagodziła upadek. Złamała obydwie nogi i przeleżała w kanionie całą noc, w przenikliwym chłodzie, bo na dnie kanionu wiał lodowaty wiatr. Nikt w obozie nie wiedział, gdzie szukać zaginionych -- wymknęli się po kryjomu na tę szaloną wyprawę. Nikt też nie przejmował się zbyt ich nieobecnością, ponieważ Harnez znał wszystkie ścieżki i nie mógł zabłądzić. Jednakże rankiem, gdy wciąż ich nie było, wyprawiono

się na poszukiwanie zaginionych. Grupa prowadzona przez kapitana Forrestera odnalazła Mariannę i sprowadziła ją niżej położoną ścieżką, tak stromą i wąską, o tak karkołomnych zakrętach wokół skalnych występów, że mowy nie było o znoszeniu Marianny na noszach. Mężczyźni po kolei krok za krokiem nieśli ją na rękach, opierając się plecami o ściany kanionu. Ze zwieszonymi w dół złamanymi nogami cierpiała straszliwie -- co chwila mdlała. Lecz zauważyła, że cierpi najmniej, gdy niesie ją kapitan Forrester, który najniebezpieczniejsze przejścia brał na siebie. -- Słyszałam bicie jego seroa i czułam napięcie jego mięśni -- powiedziała -- kiedy chwiał się razem ze mną nad przepaścią, by utrzymać równowagę. Wiedziałam, że jeśli spadniemy w dół, to razem; nigdy by mnie nie wypuścił z ramion.

Wrócili do obozu i wszystko, co było możliwe, zostało dla Marianny zrobione, lecz zanim udało się sprowadzić chirurga z San Francisco, złamania zaczęły się zrastać i trzeba było łączyć je na nowo.

-- Kiedy chirurg zabrał się do roboty, chciałam trzymać za rękę kapitana Forrestera, nikogo innego. Pamiętasz, Niel, jak się zawsze chwalił, że nie krzyknęłam ani razu w czasie schodzenia z góry. Kapitan pozostał w obozie, dopóki nie zaczęłam chodzić, uczepiona jego ramienia. Oświadczył się o moją rękę i nie musiał tego robić dwa razy. Czy was to dziwi? -- Rozejrzała się z uśmiechem po otaczających ją twarzach

142

M&tetW:

i roztargnionym ruchem przeciągnęła czubkami palców po czole, jakby coś odganiając -- przeszłość czy teraźniejszość, trudno powiedzieć...

Chłopcy byli szczerze wzruszeni. Gdy odpowiadała na ich pytania, Niel przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy słyszał z jej ust tę historię: pan Dalzell zatrzymał się kiedyś z całym towarzystwem z Chicago -- pamiętał dobrze, że był tam marszałek Field i prezes linii „Union Pacific”, zatrzymali się u Forresterów w drodze na polowanie w Górach Czarnych, podróżując salonką pana Dalzella. Mimo wszystko Marianna Forrester nie zmieniła się od tamtych czasów. Niel nabrał przekonania, że właściwy człowiek jeszcze teraz mógłby ją uratować. Była wciąż sobą -- niepokonana, grała wciąż swoją dawną rolę, lecz na widowni zaszły zmiany i tylko czeladź jej słuchała, bo tych, co brali udział we wspaniałych przedsięwzięciach, w barwnych uroczystościach -- zabrakło na zawsze.

Rozdział 9

Z nadejściem lata zdrowie sędziego Pommeroy a poprawiło się i gdy był już w stanie wrócić do biura, Niel zaczął myśleć o powrocie do Bostonu. Zamierzał tam być pierwszego sierpnia i zabrać się do pracy z korepetytorem, żeby odrobić opuszczone miesiące. Był to smutny okres w jego życiu. Rwał się do wyjazdu, a jednocześnie czuł, że wyjeżdżając rozstaje się na

zawsze ze wszystkim, co było mu drogie w czasach młodości. Ludzie i nawet sama ziemia tak szybko się zmieniali, że nie będzie do czego wracać.

Był świadkiem końca pewnej ery, zmierzchu pionierów. Zjawił się na świecie, gdy wspaniałość tego okresu już mijała. Podobnie wędrowiec w czasach polowania na bawoły nierządka napotykał na prerii ognisko, od którego myśliwy już odszedł; mówił o tym zdeptany żar i ziemia jeszcze ciepła, trawa wygnieciona w miejscu legowiska i tam, gdzie pasł się koń. Był to koniec Zachodu budującego koleje; ludzie, którzy nałożyli żelazne jarzmo równinom i górcom, byli już starzy; nie jeden z nich cierpiał biedę, a ci, którym się powiodło, szukali odpoczynku i złudnej ucieczki od śmierci. Skończyła się ta epoka; nic jej już nigdy nie wróci; Jej smak i zapach, jej pieśń, obraz wizji, którą ci ludzie ścigali -- wszystko to zdążył zobaczyć na ich twarzach niby gasnący odbłask zorzy -- i to zostanie mu na zawsze.

Najbardziej miał za złe pani Forrester, że nie chciała, wzorem wdów wszystkich tych wielkich ludzi, poświęcić się i umrzeć wraz z epoką pionierów, do której należała; miał jej za złe, że chciała za wszelką cenę żyć. W końcu Niel wyjechał bez pożegnania. Wyjechał z ciężkim sercem, pełnym pogardy dla pani Forrester.

A stało się to całkiem po prostu -- nieważny epizod, który był niczym, lecz jednocześnie wszystkim. Pewnego letniego wieczoru idąc do

i

niej przystanął na chwilę pod oknem jadalni, by przyjrzeć się krzewom polnej róży. Drzwi jadalni otwarte były do kuchni, gdzie pani Forrester stała przy stole robiąc ciasto. Od podwórza wszedł Ivy Peters, zakradł się z tyłu i poufale; objął ją w pól: dłonie jego spotkały się na jej piersiach. Nie drgnęła, nie obejrzała się, dalej wałkowała ciasto.

Niel zeszedł ze wzgórza. -- Ostatni raz -- powiedział do siebie przechodząc przez most w ciemności -- ostatni raz --* I tak się też stało. Nigdy już więcej nie był nawet na drodze wysadzonej topolami. Ofiarował tej kobiecie rok swego życia, a ona tym wzgardziła! Wierzył, iż pomógł kapitanowi umrzeć w spokoju; zmarły wydał mu się teraz bardziej realny od niej. Przez wszystkie lata myślał, że to dzięki pani Forrester dom ten był tak różny od innych. Lecz po śmierci kapitana stał się domem, w którym zdradzano i odpychano starych przyjaciół, takich jak sędzia, w którym prostacy zachowywali się po prostaku, znajdując w pani Forrester osobę im równą.

Gdyby nie miał natężyć wyzła, pomyślał, to już po pierwszym doświadczeniu nigdy by tam nie wrócił. Lecz widocznie potrzebował podwójnej dawki, żeby ozdrowieć. Otóż i dostał! Cokolwiek ta kobieta jeszcze zrobi, na pewno będzie mu to zupełnie obojętne.

Dopóki sędzia żył, Niel otrzymywał od czasu do czasu wiadomości. „Nazwisko pani Forrester wszędzie kojarzą z Ivy Petersem -- pisał mu

wuj. -- Nie wygląda na szczęśliwą i obawiam się o jej zdrowie, lecz z własnej woli znalazła się w sytuacji, w której przyjaciele jej męża pomóc jej nie mogą".

I znowu: „Co się tyczy pani Forrester -- brak wiadomości stanowi dobrą wiadomość. Jest smutna i załamana".

Po śmierci wuja Niel słyszał, że Ivy Peters kupił w końcu posiadłość Forresterów i sprowadził sobie z Wyoming żonę, z którą zamieszkał w domu na wzgórzu. Pani Forrester wyjechała na Zachód -- ogólnie przypuszczano, że do Kalifornii.

Trzeba było lat, by Niel zdolny był myśleć o niej bez żalu i smutku. W końcu jednak, gdy zniknęła zupełnie z jego pola widzenia, gdy nawet nie wiedział, czy wdowa po Danielu Forresterze żyje czy umarła, pani Forrester, żona kapitana, ożyła w jego pamięci jako barwne i obojętne wspomnienie.

Był bardzo rad, że znał ją kiedyś i że pomogła mu wejść w życie. Od owych czasów spotkał wiele ładnych i mądrych kobiet, ale żadnej podobnej do niej z najlepszego okresu. Oczywiście, gdy roześmiane zaglądały człowiekowi głęboko w oczy, zdawały się obiecywać szaloną rozkosz, której w życiu nie zaznał. „Wiem, gdzie jest -- zdawały się mówić -- mogę ci pokazać!" Chętnie wywołałby ducha młodej pani Forrester -- jak czarownica z Endor ducha Samuela -- i wezwał do zdradzenia tajemnicy, wyznania sekretu wiecznie kwitnącej, płonącej, wszystko przeni-

kającej radości. Czy знаła ją naprawdę, czy też było to tylko zręczne udawanie? Być może znalazła w życiu nie więcej niż inni, zawsze jednak umiała sugerować rzeczy piękniejsze od niej samej, jak zapach jednego kwiatu potrafi przywołać na pamięć całą słodycz wiosny.

Pisane było temu chłopcu raz jeszcze usłyszeć o utraconej pani. Kiedyś bawiąc w pewnym hotelu w Chicago zmierzał wieczorem do restauracji, gdy podszedł do niego barczysty mężczyzna i przedstawił się jako jeden z chłopców ze Sweet Water.

-- Jestem Ed Elliot i pomyślałem sobie, że to chyba ty. Czy możemy usiąść razem? Przyrzekłem komuś, kto był z tobą w przyjaźni, że przekażę wiadomość, jeśli cię kiedykolwiek spotkam. Czy pamiętasz panią Forrester? Otóż widziałem ją w dwanaście lat po jej wyjeździe ze Sweet Water -- aż w Buenos Aires. -- Siedli i zamówili kolację.

-- Tak, pojechałem do Ameryki Południowej " w interesach. Jestem inżynierem górnikiem, byłem jakiś czas w Buenos Aires. Pewnego wieczoru w jednym z największych hoteli tego miasta odbywał się bankiet i tak się złożyło, że wyszedłem z baru w chwili, gdy do wejścia dla zaproszonych gości podjechał jakiś samochód. Nie zwracałem na nikogo uwagi, dopóki jedna z pań nie roześmiała się głośno. Poznałem ją po śmiechu -- nie zmienił się ani trochę. Dama

ID*

147

tonęła w futrach, głowę miała otuloną szalem, lecz dojrzałem jej oczy i nabrałem pewności, że to ona. Podeszedłem, by się przywitać. Odniosłem wrażenie, że uradował ją mój widok, wciągnęła mnie do hotelu i rozmawialiśmy, dopóki mąż jej nie przyszedł, by ją zabrać na kolację. O tak, wyszła ponownie za mąż, za jakiegoś starego, - pokręconego Anglika -- nazywał się Henry Collins. Powiedziała, że urodził się w Ameryce Południowej, lecz poznała go w Kalifornii. Mówiła, że mieszkają na wielkim ranczo i hodują bydło, i przyjechali własnym samochodem na bankiet. Później pytając ludzi, dowiedziałem się, że ten stary to typek -- był dwukrotnie żonaty, raz z jakąś Brazylijką. Mówiono mi, że jest bogaty, ale kłótlivy i raczej skąpy. Ona jednak miała wszystko, to było widać. Podróżowali wspaniałym francuskim samochodem, z pokojówką i jego osobistym służącym. Nie, nie zmieniła się aż tak, jak można było przypuszczać. Oczywiście była mocno umalowana, jak większość kobiet w Brazylii: mnóstwo pudru i, przypuszczam, trochę rózu; włosy miała czarne, jeszcze czarniejsze, niż pamiętam, chyba farbowane. Prosiła, żebym ich odwiedził w ich posiadłości, mąż jej potwierdził zaproszenie, gdy po nią przyszedł. Pytała o wszystkich* „A jeśli spotkasz kiedyś Niela Herberta -- rzekła -- pozdrów go serdecznie ode mnie i powiedz, że często o nim myślę”. I powtórzyła: „Powiedz, że wszystko ułożyło się dobrze. Pan Collins jest najlepszym w świecie mężem”. Po powrocie z Ameryki Południowej szukałem cię w twym nowojorskim biurze, ale byłeś gdzieś w Europie. Zdumiewające, doprawdy, jak ta kobieta dała sobie radę. Robiła wrażenie zupełnej ruiny, gdy wyjeżdżała ze Sweet Water.

-- Czy sądzisz, że jeszcze żyje? -- spytał Niel. -- Gotów byłbym puścić się w podróż po to tylko, żeby ją zobaczyć.

-- Nie, zmarła jakieś trzy lata temu. Wiem to z całą pewnością. Po opuszczeniu Sweet Water raz w roku przysyłała z każdego miejsca pobytu czek do Związku Weteranów Wojny Secesyjnej, żeby zdobiono kwiatami grób kapitana Forrestera w Dzień Dekoracji. Trzy lata temu Związek dostał od tego starego Anglika przekaz pieniężny na opiekę nad grobem kapitana Forrestera „dla uczczenia pamięci zmarłej mej żony, Marianny Forrester Collins”.

-- A więc możemy być spokojni, że do końca życia dbano o nią troskliwie -- rzekł Niel. -- Bogu niech będą za to dzięki

-- Wiedziałem, że tak to przyjmiesz -- odparł Ed Elliot i po twarzy jego przeszła fala wzruszenia. -- Byłem tego pewien!